

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY

Rok IV.

Londyn, niedziela 4 czerwca 1950

Nr. 23 (154)

MARJA WINOWSKA

Z CYKLU: „MATKA BOSKA PŁACZĄCA Z LA SALETTE”

WIELKI POWRÓT I PIELGRZYMKI POKUTNE

TEMPERATURĘ serc tych niezliczonych rzesz pątniczek sprawdzić można w kotlinie objawień. Nie dziel jej od esplanady żadną naturalną przegradą. W Lourdes cudowną grootę chroni góra — i rzeka. Tu Pani Płacząca obrała sobie szlak ze wszech miar pokorny i dostępny. Chcąc nie chcąc, zaraz po wyjściu z bazyliki, krokij nasze wstępują w jej ślady. Tędy szła, tu płakała, tam usiadła jak wieśniaczka znękana „na kamieniu, z łokciami opartymi na kolanach i z twarzą ukrytą w dłoniach”. Niebo musnęło tę ziemię, przenikając każdą piędź tak promienną łaską, że nikt nie wstępuje bezkarnie w jej zasięg „radioaktywny”. To też widać tu o każdej porze pątników na kolanach o twarzach, przedziwnie rozmodlonych: zda się, bije od nich światło. Parę kroków od przedchodniów, (gościńce jest na rzut kamienia) wespół gwaru rozmów niedalekich, o świecie Bożym zapominają, zasłuchują w nieziemską melodię. Jakież wielu wespół od nich młodych, niemal dzieci! Kieczęć na kamieniu, na gołycach kolanach, nieraz z ramionami w krzyż i rozżarzeniem w rękę. Inni stoją jak na warcie, z zamkniętymi oczyma i tak w sobie pograżeni, że nie wiedzą, co się wokół nich dzieje. Inni wreszcie na klęczkach odprowadzają drogę krzyżową. Słońce praży niemilosierdzie — daremnie szukaboyś schronu! Jedyny cień na świętej Górze daje kasztel klasztorny. A jednak nikt się nie zali, nikt nie ucieka. Coraz częściej stwierdzam ze zdumieniem że pątnicy La Salette całkiem samorzutnie wchodzi w klimat pokutny, obowiązując tu tak bezwzględnie jak ten surowy krajobraz i te nagie skały...

Jest 5 popołudniu. Idę ścieżką, w stronę ementarza i mijam wysoki dębowy krzyż, który strażuje na wykuszu skalnym niby symbol uroczysty świętej góry. Przede mną łagodnie zbiega Gargas, którego wierzchołek, zaledwie 400 metrów nad klasztorem, opada po przeciwnej stronie stromą ścianą w przepaść tak zawrotną, że zające paniusie, znęcone łatwą wspinaczką, codzień przy stole opowiadają, jakiego strachu się najadły spojrzawszy u szczytu „na tamtą stronę”. „Niezim otechał pod nogami, otechał która ciągnie...” mówiła mi moja sąsiadka z niewygasłym lękiem w dużych, szafirowych oczach.

— Od rana dziś na panią poluje — słyszę tuż za sobą niski, miły głos. Przyszło mi na myśl, że właściwie się nie znamy, ale to jest na dobrą sprawę tutaj, bez znaczenia. Nazywam się Agnieszka T. Mój mąż jest inżynierem, mieszkamy w Grenoble. A na Panią zagiełam parol, bo chcę, żeby Pani o La Salette dobrze napisała.

Aż podskoczyłam ze zdziwienia: — Skąd pani wie, że ja wogóle chcę pisać o La Salette?

I mówiąc to zdaje sobie sprawę, że przyjechałam tu bez żadnych planów literackich, ba, bez atramentu do wiecznego pióra i bez raptularza...

Agnieszka uśmiechnęła się, trochę przekornie:

— Dajmy na to, że się myślę. Zobaczymy! Ale to przecież zaszkodzić Pani nie może, jeśli stara pątniczka, jak ja, opowie coś niecoś z dziejów świętej góry? Na przykład ten krzyż. Mija go pani tak sobie, prawie obojętnie. Ale ja, ilekroć nań spojrzę,

to czuję, jak serce skacze ze wzruszenia...

Idziemy teraz obie w stronę ementarza i stwierdzam ze zdumieniem, po sumiennej rekapitulacji, że nie mówiłam jej nic, ani o sobie, ani o swej pracy. Nie zna mnie tu nikt...

Wolę jednak nie pytać i tylko obserwuję ją z ukosa.

Idzie mocnym, posuwistym, do gór nawiąknym krokiem. Ma twarz jasną, energiczną i bez cienia egzaltacji. Mówiąc, patrzy prosto w oczy. Podobają mi się już wczoraj, przy pierwszym spotkaniu. Jak dotąd, myślę, nie zmieniłam zdania.

— Otóż ten krzyż — ciągnie rzeczowo — Jeden z czterech. Każdy dębowy, wysoki na trzy i pół metra. Dźwigały je aż tu ramiona ludzkie, nieraz z bardzo, bardzo daleka. Wszystkie niemal prowincje francuskie złożyły się na tę drogę krzyżową, gestem pokutnym przypominającym czasy najgorętszej wiary. Szły krzyżem z Cambrai, Reims, Rouen; z Sens, Besançon; z Bretanii i z Wandei, z Owernii i z dalekich Pirenejów; ze słodkiej Prowancji, z Tuluzji i z Alzacji; naturalnie też z Paryża — przez Chartres...

— Dawnoż to było? — pytam.

— Równo trzy lata temu. W czasie wielkiego obchodu stulecia, 1946 roku. Przez Francję szedł wicher wyzwolenia, upijał jak wino. Czyż nie wypadało rzucić tego młodego zapału pod nogi Niepokalanej, jak śliczną liturgię? Ja wiem, co Pani mi powie. Było, ach było dużo śmiecia, podłości, zawiści i gniewu. Jak zawsze, gdzie są tylko ludzie. Ale byli też i są tacy, których Bóg dźwiga ponad ich ułomność, na plan swych tajemnych zamysłów... Proszę zważyć, że ten cały obchód nie był narzucony jakimś programem oficjalnym. Skądżeżby, w naszych warunkach? Był odruchem samorzutnym. Podyktowało go wdzięczne i skruszone serce. Gdybyż Pani widziała tych młodych, którzy poświęcili całe swoje wakacje na tę pielgrzymkę pokutną! Jakie cudne chłopaki, aż serce rosło! Czy słyszała pani o „Wielkim powrocie” ojca Ranson, który „rozpętał się” w czasie wojny?

— Owszem, słyszałam, ale przyznam się, że wydawał mi się czasami trochę naiwny, z tym obnoszeniem w miejscu w miejsce publicznego prania brudnej bielizny i coraz to ciskamy na eksport jakieś samooskarżenia. Cudzoziemiec przeczyta książkę o „Francji, kraju misyjnym” i naprawdę nabiera przekonania, że żyją tu sami poganie. A jednak...

— Czy pamięta pani ten werset ewangelii, w którym Chrystus dziękuje Ojcu, „iż zakrył te rzeczy przed mądrymi i roztrópnymi, a objawił je

maluczki”? Przyznam się, że mróz mnie przechodzi, ilekroć czytam ten tekst. Bo widzi pani, i ja mam dyplomy...

(Cóż u licha, wie ona o moich dyplomach? — myślę. — I do czego zmierza?)

— Całe nieszczęście w tym — ciągnęła — że w wielu z nas dziecko tak dawno umarło. Już nawet nie wiemy, jak myślą, czują, cierpią i cieszą się malutkie dzieci. I jakie są mądre, ile widzą... Małe dziecko w którym działa łaska chrztu naprawdę rozmawia z aniołami i żyje w świetle, który dla nas, dorosłych osób, jest zamknięty. Gdybyż pani wiedziała, ile ja się nauczyłam od moich dzieci, gdy były malutkie? Nie wiem, kto kogo więcej nauczył: czy ja moje dzieci, czy one mnie... Otóż widzi pani, „Wielki Powrót” i te wszystkie pielgrzymki pokutne apelują do dziecka w nas. Do tego prawego, rzetelnego brzdąca, który tak, jak mój Michał, sam mi przynosił różgę i nastawiał kuperek, gdy coś zmalował. My dorośli wciąż się targujemy z Panem Bogiem. Mamy na zawołanie mnóstwo wykrętów. Jak już nie „kompleks dziedziczny”, to wybiela nas psychoanaliza. Byle nie przyznać się do grzechu, byle się nie kajać! I dlatego krążymy, kluczymy, płaczemy, mażemy. Ale dziecko wie, że co czarne, to czarne i słowo: pokuta nie przeraża go wcale. To łatwo powiedzieć: „obnoszenie posągu Matki Boskiej z miejsca na miejsce”. Ale czy pani wie, ile potu, ba, nawet krwi wsiąkło w drogę, którą odmierzały pątnicy Wielkiego Powrotu? Ten był ich cel: wymodlić i wycierpieć powrót Francji. Powrót do Boga. Cóż zaś dziwnego, że obrali sobie za patronkę wszech łask Pośredniczkę?

— Ależ, pani, — uśmiecham się na widok jej z lekka zaperzonej twarzy — wybija Pani okno na oścież otwarte, i ja sądzę, że te pielgrzymki pokutne należą do najpiękniejszych wyczynów katolickiej Francji. Ich dziecięca naiwność — to może odwet za uwiad starczy, w który graży was ateizm. Cała rzecz w tym, kto weźmie górę?

— Wątpi pani? Katolicką Francję mało kto zna, nawet wśród Francuzów. My mamy manię publicznego prania brudnej bielizny i coraz to ciskamy na eksport jakieś samooskarżenia. Cudzoziemiec przeczyta książkę o „Francji, kraju misyjnym” i naprawdę nabiera przekonania, że żyją tu sami poganie. A jednak...

więcej u nas katolików „na całego”, niżby się zdawało. Tylko, że oni się nie afiszują, nie robią reklamy. Ale gdy przyjdzie do czego, jak przed trzema laty, potrafią mileżkiem dźwigać krzyż od Pirenejów po Alpy. Widziałam ich na ostatnim etapie, pomęczonych, szerniałych od pyłu i słońca. Dostawnie z rąk wyrwali sobie krzyż, a gdy jeden niósł, wszyscy cniecieli nieść. Złączyło ich po drodze takie śliczne braterstwo! Każdy myślał o drugich tylko, nie o sobie, to było takie śliczne! Szły w duchu pokuty, do Płaczącej Pani. Za grzechy własne — i całego narodu. Czuli się na każdym kroku tę niezrównaną solidarność, to świętych obcowanie. Każdy za wszystkich, wszyscy za jednego...

— Ze wsł La Salette wielu szło bosko. Jak pani wie, najszersza to część drogi, stroma i zjeżona ostrym piargiem. Pięć kilometrów ostrej wspinaczki! Najprawdziwsza droga krzyżowa. W miarę wędrowki, ustawiano stacje. Na każdy krzyż czekał dół specjalnie wykopany, w równych odstępach, co 300 metrów. Mgr.

Płaczącą Pani prowadził korowód i na każdym etapie mówił z serca i mocno, o niedościgłej tajemnicy krzyża. Szłam ja z nimi. Widziałam twarz niektórych chłopaków, sine z wyzerpania. Nogi niektórych krwawiły. Wielu było na czczo, przed komunią. Krzyże były takie ciężkie, że pięciu chłopców śmignęła jak sosna ledwo mogło udźwignąć: dwóch niósł przecznice, trzech kadłub. Szły w takt różańca, trzy godziny trwała ta droga krzyżowa! Za krzyżami szedł tłum pielgrzymów, jak nigdy rozmodlonych, bosko. Miejsmy naprawdę wrażenie, że dźwigamy grzechy świata, i własne, i cudze... Słowa ludzkie za biedne, by wyrazić! Czy pani teraz rozumie, dlaczego, gdy patrzę na te krzyże, serce mi mocniej bije? To coś jak ślubowanie i miłość mocniejsza nad śmierć! Ona tutaj płakała nad nami, tak gorzko: za łyż daliśmy jej naszą krew. Nikt nie wie, tylko Bóg, ile przyrzeczeń heroicznym wsiąkło owego dnia w tę jałowiznę, ile świętych zobowiązań! I proszę mi wierzyć, niejednego z nich Bóg już wziął za słowo. Bo też na tej górze dzieją się rzeczy jak nigdzie na świecie: trzeba by mieć serce z kamienia, by nie współczuć!

— Mielismy podwójne hasło: modlitwa, pokuta, miłość. Nade wszystko ta ostatnia, królowała... Każdy za wszystkich, wszyscy za jednego. Pani nas zna i wie ile w nas egoizmu.

Jak często myślimy tylko o sobie. Trzeba łaski niebada, żeby przebić tę skorupę. A e czegoż Niepokalana nie potrafi? Gdy pierwszy raz gościłam w Grenoble nieznanym (a nie przelewało się wówczas w domu) miałam chwile pokusy, żeby dać im gorzej jeść, niż dzieciom. Ale potem zawstydzam się tej myśli i przyjęłam tych biedaków, jak najbliższą rodzinę. I Pan Bóg wziął to na swoje konto. Na to, żeby mieć, nie ma lepszej metody jak dawać... Kto mnie tego nauczył, jak nie tutejsza Pani?

Idziemy ścieżką coraz węższą, coraz bliżej szczytu. Nagle towarzyszyka moja odwraca się,

— Proszę spojrzeć stąd, na klasztor i góry.

Krzyknęłam z zachwytem. Święta kotlina, gniazdo lilipucie, wygiadała stąd jak magnes przyciągający wieńorakie zbiegowicko gór. Klonyły się ku temu niemowleciu potężne kumy, pykały fajki mgieł w tysiącletniej zadumie, że też, na koniec czasów, takie oto wypadło im oglądać dziwo. Małe to takie, niepozorne, ledwie od ziemi odróżniające się, ale w nich najczystszych zainteresowań tego wieca obrzymów, doskonale wkrąg rozsiadłych, w kamiennym zapatrzeniu. Jakaż harmonia przedstotna zasłubiła te góry z oświeczeniem pokutnym Płaczącej Pani! Nasuwa mi się znany tekst z Księgi Przypowieści, w którym Mądrość wyobraża Matkę Słowa:

„Pan mój posiadał na początku dróg swoich, pierwiej niżli co uczynił na początku. Od wieku jestem ustanowiona i od dawna, pierwiej niżli się ziemia stała... Jeszcze nie było przepaści, a jam już poczęta była; ani jeszcze źródła wód były wytrysnęły, ani jeszcze góry ciężką wielkością były stanęły, przed pagórkami jam się rodziła; jeszcze był ziemi nie uczynił, ani rzek, ani zawiąs okręgu ziemi... Gdy gotował niebiosa, tamen ja była; gdy wedle niezawodnych praw kołem otaczał przepaście, gdy niebiosa utwierdzał w górze i ważył źródła wód, gdy zakładał morzu granice jego i ustawę dawał wodom, aby nie przestępowały granic swoich, kiedy zawieszal fundamenty ziemi... z Nim bylam wszystko urządzająca, i rozkoszowałam się na każdy dzień igrając przed Nim w każdy czas, igrając na okręgu ziemi, a rozkożam moja być z synami człowieczyimi...”

Zaprawdę, o Pani — myślę sobie — „Iy masz gust! Jakaż niewdzięcznością karmia cię od wieków ludzie! Ilez też przelałaś nad ich krnąbrną nędzą! Odpłacają ci kamieniem za chleb miłości, a ty jednak wciąż i wciąż ku nim się garniesz? Szukasz ich bliskości? Radujesz się — nie kłamie Pismo! — będąc przy nich? Jakież miłość jest bezbronna i jak łatwo ją zranić!

Agnieszka stała przy mnie, mileżąc. Wreszcie zaczęła mówić, cicho jak w kościele:

— Widzi pani? Tam w głębi, naprzeciw, Obiou, 2800 metrów. Na lewo le Grand Ferrand. A ten szczyt obły, uwieńczony krzyżem, nazywa się Chamoux. Przed kilku laty burza zwała krzyż. Dostęp nie łatwy, trzeba było ochotników, by postawić drugi! Podjęła się tego wyczynu grupa przednich alpinistów, z Koła świętego Brunona, z Grenoble. Niesł na plecach materiał konieczny, wodę, cement, żelazo. Trzeba przejść wąską granią, między dwoma przepaściami, coż za pyszny widok! Śmiało można rzec, że postawili ten krzyż z narażeniem życia: musieli go mocno utwierdzić, gdyż tam na górze wieńer hula... Wreszcie stanął i ksiądz rektor odprawił mszę świętą u jego stóp, w śliczny czerwcowy ranek. Hale zło-

Z okazji uroczystości Bożego Ciała,

dla uczczenia Autora Oficium tego wielkiego Święta,

Doktora Kościoła św. Tomasza z Akwinu

GAZETA NIEDZIELNA wydaje w roku bieżącym specjalny, 8 stronicowy dodatek tomistyczny, który zostanie dołączony do zwykłego wydania tego pisma.

DODATEK TOMISTYCZNY zawiera zbiór artykułów wybitnych autorów, którzy oświetlają postać i dzieło Doktora Anielskiego. Całość dodatku tak została pomysłana, aby ułatwić zbliżenie człowiekowi współczesnemu do jednego z największych umysłów, jakie posiada Kościół.

Dodatek tomistyczny ukazał się również osobno w niewielkim nakładzie i jest do nabycia — w cenie 6 d.

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS” 12 Praed News, London, W.2.

*) Porównaj poprzednie artykuły cyklu: „Kasztel płaczącej Pani” nr. 41/120 (r. 1949) ŻYCIA „Łzy Matki” nr. 42/121 (r. 1949), „Wieczorna serenada” nr. 44/122 (r. 1949), „Przekazcie to mojemu ludowi” nr. 48/127 (r. 1949) i Święta Igra i Brat Antoni” nr. 2/133 (r. 1950).

MARIA CZAPSKA

PAMIĘCI BERNANOSA

ciły się od kacerców, przyszlizmy na czezo, milcząc. Klęczeliśmy dokoła i każde słowo mszy było młode, jak jutrzienka. Czuliśmy, że bije w nas jedno serce. Po mszy — komunikowaaliśmy wszyscy — było wspólne śniadanie. Ksiądz Rektor powiedział: „Dzieci kochane, cieszymy się gdyż nasza Pani („Notre Dame“) ma przyjaciół, którzy kochają ją nad życie“. I przeczytał nam wyjątki z kilku listów: mieliśmy niemal wszyscy tzy w oczach: Pomyślałam sobie wówczas: nad nami, grzesznikami, Matka Boska płacze, ale święci pewno nauczyli ją śmiać się!

— A może nawet igrać? zapytałam. — Święty to taki człowiek, który dziecka w sobie albo nie zabił albo pozwolił wskrzesić je — Łasce. A Niepokalana? Cóż za cud dzieciństwa Bożego, niczym nigdy nie zamknięty? Pismo Święte mówi nam o Bożych igrach, a Kościół kładzie te słowa w usta Najświętszej Panny.

Aż klasnęła w ręce z uciechy:

— Nie mówiłam pani, że się dogadamy? W oczach moich małych dzieci czytałam całe traktaty teologiczne. Ale można mieć dużo lat i oczy dziecięce. Właściwie tylko grzech postarza i niewinność to najcudniejszy eliksir młodości. Pamiętam, jak zabiłam świeka w głowę jednej mojej znajomej, która wydaje fortunę na mikstury pani Adaire. Poszliśmy razem do Siostry Gertrudy, benedyktyнки, która jest starsza od niej, a w swoim kwefie wygląda tak młodo! Powiedziała jej potem: „Wiesz, ile ma lat? Tyle a tyle. Widziałaś jej cerę? Myje się mydłem marsylijskim. A wiesz, czemu jest taka młoda? Bo kocha Pana Boga“. Moja wyszminekowana przyjaciółka była tym strasznie zaskoczona, a że bardzo jej zależy na tym, żeby młodo wyglądać, ręczę, że zainteresowała się receptą. Ale Pan Bóg jest taki pokorny, że wszędzie byle drzwiami, nawet przez Instytut Kosmetyczny! Kto wie, czy właśnie tam nie złowili Magdaleny?

Śmiała się cicho, serdecznie. W opalonej twarzy jasne oczy wyglądały jak dwa skrawki nieba. Nie była ładna, ale więcej, niż ładna bo pełna światła. Spracowane ręce świadczyły o najprostszyc posługach domowych. Pionowe zmarszczki na czole o skupionych troskach. Usta bardzo kobiece i pełne energii. Gdybym była malarką, zarazbym ją poprosiła, żeby mi pozowała.

— Ma Pani taki rzadki w Francuzów zmysł humoru — zauważyłem z pewnym zdziwieniem.

— Nie zna Pani tutejszych gór. Moja rodzina stąd, od wieków osiadła. My lubimy się śmiać, najpierw z samych siebie. Jesteśmy bardzo skryci i śmieć jest nam doskonałą tarczą. Zawierzamy się nie łatwo, ale gdy już raz mamy komuś swoje serce, to na amen. Może dlatego Matka Najświętsza to właśnie miejsce sobie upatrzyła? Liche stanowimy bractwo, ale jak przyjdzie do czego, to można na nas liczyć... Czy Pani wie, że już szósta? Ojciec Ekonom zaklinał nas w południe, żeby się nie spóźnić bo to bardzo komplikuje obsługę. A więc, biegiem...

Maria Winowska

TO było chyba natchnienie tej nocy — wyznał pięć dni przed śmiercią księdzu-przyjacielowi, który go nie odstępował w ostatniej chorobie — powiedziałem: tak!

Był skazany, ale lekarze łudzili go jeszcze nadzieją powrotu do zdrowia. Chodziło o „Życie Jezusa“, dzieło zamierzone od wielu lat, któremu tej nocy, w razie powrotu do zdrowia, postanowił poświęcić się bez reszty.

„Zdaje mi się — mówił, chwytając z trudem oddech, z oczami pełnymi łez — że Bóg żąda odemnie tego ostatecznego wyrzeczenia. Nie sądzi ksiądz? Życie moje miałoby odtąd rację bytu... To było ciężko, strasznie ciężko — wyjaśniał — bo czyżbym ja, powieściopisarz, był kiedy poświęcił moje powieści dla polemiki, gdybym nie przywiązywał znaczenia do tych pism?... Ale to nieodwołalne, odtąd będę pisał tylko o Chrystusie; wszystko inne — skończone... Zresztą, wedle mojego planu, miałbym roboty na dwa lata“.

Ta myśl nurtowała go oddawna, zmagał się z nią, nie zwierzając się nikomu, wreszcie ustąpił, jak dziecko, oddając wszystko, bez targu... Ostatnia ofiara, po której nastąpiło takie odprężenie, pokój tak ogromny, że śmierć była już jedynie dopełnieniem tamtego wyrzeczenia.

Od śmierci Bernanosa mija drugi rok, a ślad pozostawiony przez niego w sercach i sumieniach zdaje się tylko pogłębiać:

Jak cież tym dłuższy im padnie z daleka.

Czym był Bernanos w całym swym życiu? Bojownikiem nieustępliwym, wiernym aż po śmierć ryerczem swojej — jak mówił — sprawy, żołnierzem, który walczył do końca czynem, słowem, piórem, przykładem; gwałtowny aż do niesprawiedliwości, namiętny aż do zaślepienia, skrajnie bezkompromisowy w dążeniu, wymagający od siebie i drugih, wprowadzający niepokój we wszystkie środowiska „ludzi osiadłych“, w zniechęcony przezeń świat: „des bien-pensants“, tyń chrześcijan z imienia i praktyk wygodnie i bezpiecznie zadowolonych w dobrobycie doczesności — „skrybów i faryzeusz“.

Nie zwyki nikogo oszczędzać, wszystkim się narażając. W rozmowie z serdecznym przyjaciółm ulegał wybuchom strasliwego gniewu atakując swego rozmówcę niby wroga i winowajcę danej nieprawości. W takich chwilach każdy był w jego oczach odpowiedzialny za to, że „dom modlitwy stał się jaskinią zbójców“, każdy godzien potępienia. Po chwili już się tłumaczył, prosił o wybaczenie, gorliwość Domu Bożego porywała go poza granice miłości bliźniego, ale chodziło mu o sprawę, o jego świętą sprawę, stokrój bardziej aniżeli o życie własne, o Francję, o ludzkość. Nie mógł się pogodzić z odstępstwem Ojczyzny, z jej démission jak to nazywał, sam bronił nie złożył nigdy... Nigdzie nie zagrzał miejsca, wieczny wędrowiec, wieczny tułacz, wieczny pielgrzym, w znaczeniu Mickiewiczowskim „pielgrzymujący do Ojczyzny Wolnej“. Nie zasnął w życiu pokoju, jakby nie do niego odnosiły się słowa Chrystusa: P o k ó j m ó j d a j e w a m... Niechaj się nie trwoży serce wasze, ani się nie lęka... Trwoga była stanem permanentnym jego duszy, ta angóisse, która jest trwogą i męką zarazem. „Świadek świętej Agonii“ — nazywał go jeden z jego przyjaciół.

Bernanos zdawał sobie jednak sprawę, że w tym buncie nieustannym, w tej trawjącej go pasji przeciwko nieprawości świata jest też coś z podszepców Złego Ducha, jak i w tej pogardzie, tej goryczy, którym dawał upust w swoich polemikach. Stał jakby na grani pomiędzy Królestwem Bożym a Królestwem Ciemności, bo i jego Złe Moce kusily słowem „czy warto?“ (à quoi bon?) „Strasznym,

nieubłagany pytaniem, na które żaden człowiek o istotnie gorącym sercu nie mógł odpowiedzieć i które rozstrzygnęło o zbawieniu kilku nielicznych bohaterów jedynie dzięki cudowi Łaski...“ (Nouv. Histoire de Mouchette).

W innym miejscu czytamy: „Gniew i oburzenie są próżne, czego nie można pokochać, jest próżne“. I jeszcze te słowa tak znamienne:

„Zasada w s z y s t k o l u b n i c, dewiza mojej młodości, oto, co mnie zgubiło — wyznaje w jednym z listów (1933 r.). — Może należy czynić jakieś ustępstwa na rzecz mierności? Byłem zbyt pyszny, by tak sądzić“.

„Czuć i myśleć jako oporny, a żyć i pracować na życie swoich bliskich wedle zniechęconych metod i dyscyplin, równa się rozwiązaniu kwadratury koła... Bo jak chcesz? Zimno ci, głodno, marzysz, by się gdzie wyrwać i wtedy jakiś zacy burzuj otwiera ci drzwi, umieszcza swoje brzocho za stołem, je, pije, czka i powiada klepiąc cię po ramieniu: — Wiesz jak to proste. R ó b t a k s a m o ! To nigdy nie chybi!“

Niezmiernie trudno jest pisać o Bernanosie, chciałoby się cytować, tylko cytować, bez żadnych komentarzy, bo jak tu komentować jego prozę strzelistego natchnienia, nabrzmiałą bólem, przenikliwie celną, twardą i tkliwą, porywczą i łagodną. Jak zdefiniować złożoność jego osobowości, w której gwałtowność oskarżeń bijących nie w człowieka a w jego upodlenie, w zdradę przedwiecznego wzoru spleta się z bezmiarem współczucia dla upadłych i pogardzonych. Kto kochał naprawdę, wie, że współczucie może się stać u lreka i ta również udręka dopełniała nurtujący go gład sprawiedliwości.

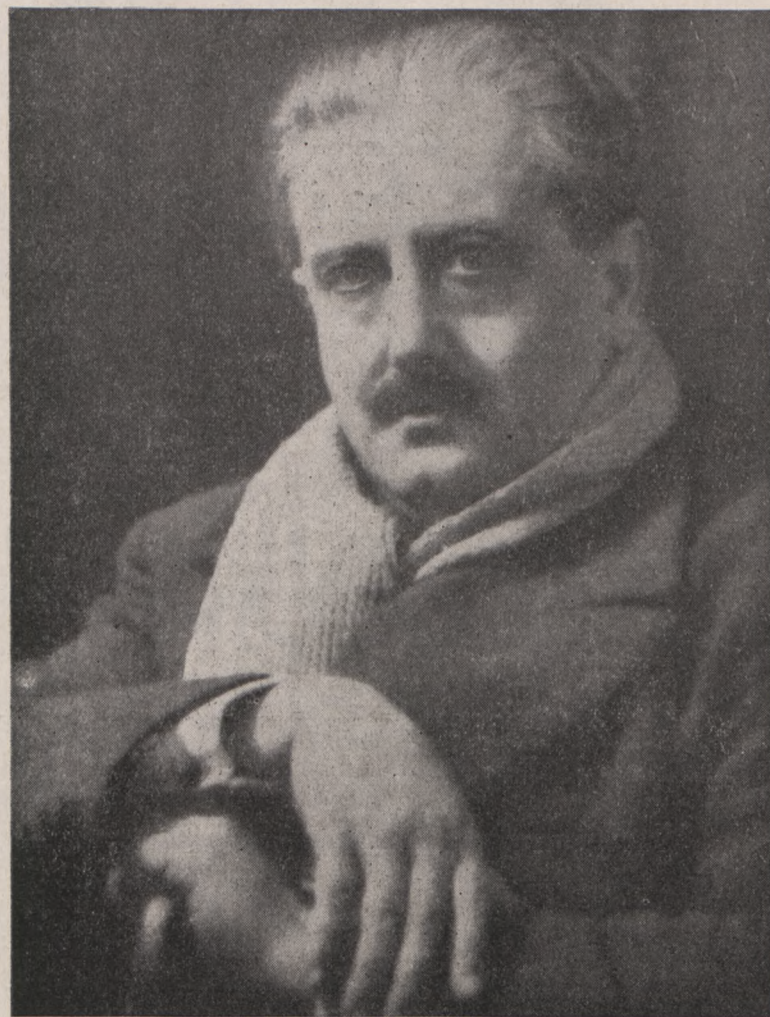
Ale ten gwałtownik porywający Królestwo Boże, który do śmierci nie znalazł dla siebie miejsca na ziemi, miewał jak każdy człowiek swoje dni odprężenia i słodyczy. „Sądzę — pisał w takiej chwili — że Bóg chciał mnie wynagrodzić za to, że tak bardzo, tak bardzo, tak bardzo kochałem tę ziemię, dziedzictwo człowieka“.

Po śmierci wielkiego pisarza zostały zawiazane „Towarzystwo Przyjaciół Georges Bernanosa“, którego staraniom zawdzięczamy wydawnictwo poświęcone jego pamięci*). Na ten tom, liczący 376 stron, składa się wybór 42 listów pisarza, od dzieciństwa do śmierci, szereg wspomnień o nim, tak samo z przebiegu całego życia, kilkanaście essayów, naświetlających wszechstronnie człowieka i pisarza, głosy cudzoziemców o zmarłym (Anglik, dwóch Włochów, dwóch Niemców, ośmiu Brazylijczyków) nota biograficzna, nieskompletowana jeszcze bibliografia, oraz 24 tablice poza tekstem (fotografie pisarza, miejsca jego zamieszkania i jego rękopisów).

Poza tym tonem Towarzystwo wydaje Biuletyn kwartalny, przeznaczony wyłącznie dla członków, w którym ogłasza dalsze fragmenty korespondencji, artykuły zachowane w rękopisach lub zagubione po czasopiśmie, listy otwarte, oraz dalsze studia o pisarzu i wspomnienia o człowieku. Ostatni Biuletyn z marca 1950 r. zawiera ponadto katalog wystawy Bernanosa, zorganizowanej w Galerie Jean Loize 47, rue Bonaparte (od 7. 3. do 15. 5.).

W stosunku naszym do świętych, bohaterów czy wielkich artystów jest poza cieżą albo miłością także ciekawość, chęć zbliżenia do człowieka zapoznanie się z jego rysami, środowiskiem, przedmiotami codziennego użytku, z tym na co patrzyły jego oczy, czego dotyczyły jego ręce:

Kto kocha widzieć chce choć cież obrazu... Kult pamiątek kult relikwii.



JERZY BERNANOS

Człowiek żywy broni się przed tą natarczością, umarły nie może się jej sprzeciwić. Jego życie prywatne staje się nagłe własnością publiczną.

Na wystawie z rue Bonaparte zostały się fotografie rodzinne oraz zdjęcia samego Bernanosa, od lat nie mówiących aż do ostatniej do śmierci, krajozrazy jego dzieciństwa i innych miejsc zamieszkania w Francji, na Balearach i w Brazylii. tak dokładnie później oddanych w jego powieściach, kilka wydań jego dzieł (oryginały i tłumaczenia), różne dedykacje, listy, rękopisy, zwłaszcza jego ostatnich prac (bardzo wiele pamiątek w ciągu nieustannych wędrowek i przeprowadzek zaginęło), rękopisów w różnych fazach komparycji, aż do szeregu zdjęć z filmu realizowanego obecnie z powieści „Journal d'un Curé de Campagne“.

Na pierwszej karcie książki do nabożeństwa, mszału rzymskiego, ofiarowanego matce w 1922 r. (Bernanos miał więc już wtedy 41 lat) czytamy ten napis:

Mojej drogiej Mamie, w oczekiwaniu i upragnieniu słodyczy wiecznego Pokoju jej bolesny chłopczyk Georges Bernanos

Na egzemplarzu „Sous le Soleil de Satan“ widzimy inną synowską dedykację:

Memu Ojcu i Matce tę książkę tak różną od mego wielkiego marzenia, albowaj jeszcze niegodną ich wiernego oddania, ich świętej tkliwości, którą chronili mnie tak długo przed śmiercią, kształtując następnie serce moje dla prawdy przedwiecznej.
Georges Bernanos

Z każdej wityrny patrzeć ku nam oczy o niesamowitym spojrzeniu: przezroczyście oczy dziecka i ciotce, surowe oczy żołnierza, jasne i rozśmiane, to znów iskrzące gniewem, aż czarne — przenikliwe spojrzenie obserwatora ludzkich twarzy, a po prostu twarze ludzkich dusz.

„Ta oto fotografia — objaśnia mnie jeden z przyjaciół pisarza, pokazując zdjęcie twarzy jakby obrzmiałej, o rysach stwardniałych — to migawka z chwili, kiedy wybuch gniewem. Straszne były te wybuchy... One go zabiły“.

*) Georges Bernanos. Ed. du Seuil (Coll. du Cahiers du Rhône) Paris 1949.

Na pamiątkowym obrazku pośmiertnym czytamy słowa nieraz powtarzane w zakończeniu listów: „à la douce pitié de Dieu“. oraz ostatnie słowa umierającego księdza „Curé de Campagne“: „Wszystko jest Łaską“.

Na dużej tablicy mamy wybór artykułów, które się pojawiły po śmierci Bernanosa w prasie całego świata. Reprezentowane są tu wszystkie języki zachodnio europejskie; z Europy wschodniej — dwa wiersze z oznaczeniem zgonu pisarza po czesku. Ani jednego z licznych artykułów prasy polskiej, ani krajowej ani emigracyjnej. Dla organizatorów wystawy Polska nie należy już widocznie do Europy ani do kregu jej kultury; nie mogła gorąca, wyjątkowa sympatia, którą zmarły pisarz żywił dla naszego narodu, ani jego płomienne protesty przeciwko zdradzie, popełnionej w stosunku do Polski, „włączony“ do ZSSR.

Z wykazu jeszcze nie wydanych dzieł Bernanosa ukazały się w początku b.r. Dialogues des Carmélites, praca ukończona w przeddzień śmiertelnej choroby, przeznaczona dla scenariusza filmowego ułożonego na podstawie noweli Gertrud von Le Fort: Ostatnia na Szafocie.

Dialogi Karmelitanek to najbardziej zrównoważone dzieło Bernanosa i chyba jedyne technące pokojem, „którego świat nie dawa“.

Maria Czapka

MATKA BOSKA OSTROBRAMSKA

Reprodukcja fotograficzna obrazu Wańkowicza z herbami Polskiej i Litwy 17 x 23 cm.

Cena 2/6 i 6 d. przesyłka.

OBRAZEK KRÓLOWEJ POLSKI

z Modlitwą Chocimską 2 d.

Do nabycia: w KAT. OSRODKU WYDAWNICZYM „VERITAS“ 12, Praed Mews, London W. 2.

Najporęczniejszy modlitewnik MÓJ NIEDZIELNY MSZALIK

z objaśnieniami

Wydanie amerykańskie na pięknym papierze, z licznymi dwukolorowymi ilustracjami 350 stron Cena 4/6 i 6 d przesyłka

Poleca: Katolicki Ośrodek Wyd. „Veritas“, 12, Praed Mews, London W. 2.

II wydanie poprawione i uzupełnione broszury

X. Prof. M. Sopoćki

MIŁOSIĘRDZIE BOŻE JEDYNA NADZIEJA LUDZKOŚCI

Cena wraz z przesyłką 1/9 sh (Pierwszy nakład rozszedł się całkowicie w ciągu niespełna miesiąca).

Broszura zawiera rozprawkę o tajemnicy Miłosierdzia Bożego, opis objawień Miłosierdzia bożego, które miała S. Faustyna Kowalska, jej życiorys, zestawienie niektórych łask, uzyskanych za jej wstawianictwem, i t.d. oraz modlitwy do Miłosierdzia Bożego, 2 listanie, i t.d.

STANISŁAW STOMMA

NA CZYM POLEGA BURŻUJSTWO?

I

Mefistofeles kusi Fausta wizją szczęścia statycznego, obcując mu dosyt i pełnię w życiu doczesnym i układ, który między nimi staje, tego właśnie dotyczy. Faust nie wierzy w możliwość szczęścia zrealizowanego i osiągniętego i dlatego z lekkim sercem ofertę diabelską przyjmuje.

Werd ich zum Augenblicke sagen
Verweile doch du bist so schön
Dann magst du mich in Fesseln
schlagen
Dann will ich gern zu Grunde
gehen
Dann mag die Totenglocke schal-
len
Dann bist du meines Dienstes
frej
Die Uhr mag stehen
Der Zeiger fallen
Es sei die Zeit für mich vorbei.1)

Mefistofeles Goethego jest arcy-
mądry i umie działać metodami sub-
telnymi. Pod niewinnymi pozorami
układ z Faustem zawarty dotyczy w
rzeczywistości spraw najbardziej po-
stawowych. Swego rodzaju rota przy-
sięgi, którą wypowiedział Faust, jest —
można by tak powiedzieć — deklaracją
ideową konsumpcyjnej i statycznej
postawy życiowej. Rzecz w tym, że
Faust ma wyrzec się postępu i zrezy-
gnować z dalszych czynów. Założenie
zaś jest osiągnięcie przez niego do-
sytu i kompletnego zadowolenia. Wtedy
miałyby przekłać postęp i czas jako
elementy przemiany i rozwoju. Zaistnia-
ła chwilę chciałby zatrzymać na
zawsze, mając już tylko pragnienie
trwać a przestać dążyć.

Die Uhr mag stehen, der Zeiger
fallen... Zegar, który wedle Oswalda
Spenglera jest symbolem dynamicz-
nego charakteru kultury, miałyby ulec
zniszczeniu. Byłby niepotrzebny, był-
by nawet niedopuszczalnym absur-
dem tam, gdzie jest już tylko trwa-
nie. Negując rozwój i postęp, nego-
wałby tym samym Faust doskonale-
nie się oraz związaną z tym dialekty-
kę przemian z niższego ku wyższemu.
A wteć siłą rzeczy, w sposób bar-
dzo istotny, negowałby też odwieczne
plany Boga, wyznaczające człowieko-
wi drogę postępu i doskonalenia się.
Byłby więc Faust buntownikiem prze-
ciwko Bogu w sprawach najważniej-
szych i stałby się rzeczywiście dojrz-
ały, aby być łupem sił piekielnych.

Niezwykłą intuicją artysty ujmując
tutaj Goethe najgłębszą treść chrze-
ścijańskiej dynamiki życia duchowe-
go. Bo w chrześcijaństwie choć o
postęp, o bezustanne przewyżnianie
siebie i poświęcanie wartości niższych
na rzecz doskonalszych. Dosyt nato-
miast rodzaj bezwład i jest przyczyną
upadku.

Te perypetie i pokusy Fausta są
nie tylko udziałem wielkiej liczby jed-
nostek, ale składają się też na treść
częściowych kultur ludzkości.

II

Wiadomo, jak ostro kiedyś w „Le-
gendzie Młodej Polski“ zaatakował
Stanisław Brzozowski Sienkiewicza, a
zwłaszcza jego „Rodzinę Polaniec-
kich“. Krytyka ta o tyle jest tutaj
dla nas ważna, że wykazał w niej
Brzozowski, jak bardzo klasycznym
wzorem urzeczywistnionego burżu-
azyjnego ideału życiowego jest Sien-
kiewiczowska rodzina Polanieckich.

Użyty w tytule wyraz „burżujstwo“
wymaga jednak pewnych komentarzy.
„Burżujstwo“ nie konieczne zna-
czy tyle co „mieszczanństwo“ w sen-
sie cech stanu mieszczańskiego. Nie
zawsze wiąże się to z podziałem kla-
sowym. Przez „burżujstwo“ rozumie-

my tu pewien styl życia i pewną po-
stawę życiową. W tym sensie „bur-
żujstwo“ szczególnie się rozwinęło i
zakorzeniło w klasie mieszczańskiej,
zwłaszcza na przestrzeni XVIII i XIX
stulecia, z tego położyła klasowego
wywodząc także swoją nazwę. Jest
także oczywiste, że postawa ta w du-
żej mierze zdeteterminowana została
przez obiektywne warunki bytowania
warstwy mieszczańskiej. Jednak
„burżujstwo“ jako postawa nie pokry-
wa się zakresowo z pojęciem klasy
mieszczańskiej. Zjawiska te nie są
adekwatne. Postawa burżuazyjna jest
zjawiskiem zarówno szerszym jak i
węższym od zakresu klasy społecznej.
Na przestrzeni ostatnich dwustu lat
postawę tę przyjęły w dużej mierze
także i inne warstwy społeczne. U
nas szczególnie mocno zaznaczyło się
to w klasie ziemiańskiej, co właśnie
znalazło swój wyraz w twórczości
Henryka Sienkiewicza, w jego „Ro-
dzinie Polanieckich“.

Byli więc burżuje nie będący mie-
szczanami i mieszczanami, nie będący
burżujami. Chodzi bowiem o typ po-
stawy życiowej o znaczeniu uniwer-
salnym. Na czym polega „burżuj-
stwo“? Jakie są główne cechy tego
typu?

Stosując tutaj metodę socjologii
Maksa Webera zjawisko to przedsta-
wiać będziemy w jego czystym typie.
Uproszczenia będą świadome i celo-
we, chodzi bowiem o zarysowanie peł-
nego typu w jego całej wyrazistości.
Począmy więc ujęcie idealne w jego
wzorze klasycznym.

Otóż jako zasadnicze znamiona po-
stawy burżuazyjnej ideału życiowego
wymienić można cechy następujące:

a) Materializm praktyczny. Nie
plątać z teoretycznym! Materializm
filozoficzny jest tezą teoretyczną.
Treścią jej jest stwierdzenie moniz-
mu materii. (Istnieje tylko materia).
Materializm praktyczny nie dotyczy
zasad metafizycznych, ani w ogóle
teoretycznych. Nazwą tą określa się
postawę życiową, której cechą domi-
nującą jest dążenie do korzyści ma-
terialnych.

b) Optimizm. Wiara w przyrodzo-
ną dobroć natury ludzkiej oraz wia-
ra w możliwość osiągnięcia stanu
szczęścia doczesnego. Przy tym szczę-
ście to rozumiane jest jako pełnia
dosytu i zadowolenia z posiadanych
dóbr. Niedostrzeganie natomiast, lek-
ceważenie lub wręcz negowanie tra-
gicznych pierwiastków życia.

c) Statyka. Postawa konsumpcyj-
na i statyczna. Ideał konsumowania
posiadanych dóbr. Stąd psychika ren-
tierska i konserwatywna. Wrogi sto-
sunek do zmian, dążenie do maxi-
mum spokoju i bezpieczeństwa oraz
do starannego wyeliminowania wszel-
kich konfliktów, zarówno w sensie
zewnętrznym (społecznym) jak też
i wewnętrznym (rozterki sumienia).
Ideały życia osobistego: spokój i za-
czerwolenie.

III

Postawa burżuazyjna nie koniecz-
nie, a raczej nawet wyjątkowo łączy
się z materializmem filozoficznym.
Stąd bardzo często obcy jej jest ate-
izm. Ale ponieważ jej cechą domi-
nującą jest materializm praktyczny,
przeto spirytualizm jest często pozor-
ny, stanowiąc tradycyjną nadbudów-
kę bez głębszej treści.

Sprawy ducha zajmują jakieś miej-
sce w burżuazyjnym światopoglądzie,
ale rozwiązane są w sposób statycz-
ny. Wyrażna linia demarkacyjna od-
dziela je od pozostałych spraw tego
świata. Mają sobie wyznaczony od-
rębny, zakłety rewir. Marynia Pola-
niecka dba przecież o „służbę Bożą“,
co ma oczywiście swoją wartość samą
w sobie, ale zagadnienie „służba Bo-
ża“ umieszczone jest w osobnej szuf-
lałce i w żaden istotny sposób nie
rzutuje na sprawy życia praktycznego.
Spirytualizm zamknięty jest w
rewirze specyficznej „filozofii“, w
życiu zaś praktycznym panuje mate-
rializm. Jest to postawa najwygod-
niejsza.

Brzozowski powiedział „pioruno-
chron“. Religia staje się wówczas
„piorunochronem“, który asekuje

statyczny i konsumpcyjny styl życia,
eliminując ewentualny niepokój su-
mienia. Stwarza bogobojną fasadę,
pozwór życia bogobojnego.

W ujęciu tym religia wbudowana
zostaje w egoistyczny ideał życia,
zwiększając jego bezpieczeństwo i
wygodę. Zamiast być źródłem dyna-
miki duchowej staje się piorunochro-
nem, odprowadza niepokój i eliminu-
je konflikty sumienia. I wtedy czło-
wiek staje się wygodnym, egoistycz-
nym posiadaczem religii. Dewizą,
osłaniającą ten statyczny ideał życia
jest parodia słów ewangelicznych:
„dajcie co Boskiego — Bogu, a co ce-
sarskiego — cesarzowi“.

Ujmujemy to w typie czystym, a
więc w pewnej mierze abstrakcyj-
nym. Życiowo obraz nie jest prawie
nigdy tak wyraźny. Bogobojność bur-
żuazyjna ma zwykle jakiś stopień
autentyczności. „Służba Boża“ Mary-
ni Polanieckiej jest sama w sobie po-
zyczą dodatnią i w praktyce będzie
zazwyczaj jakoś rzutować na cało-
kształt życia praktycznego. Oportu-
nizm religijny będzie w praktyce
przeważnie jakoś stosowany. Popraw-
ka ta nie ma jednak dla wywodów
naszych zasadniczego znaczenia.

IV

Anarchista rosyjski z XIX wieku
Michał Bakunin pisał kiedyś z odra-
zą o chrześcijaństwie Europy Zachod-
niej. Chrześcijaństwo opasłych burżu-
jów szwajcarskich wyciągało mu się
parodią nauki ewangelicznej. Raziło
go obniżanie wymogów nauki chrze-
ścijańskiej do poziomu przeciętnych
możliwości ludzkich. Pomimo słusz-
nych zastrzeżeń na temat burżuazyj-
nej koncepcji chrześcijaństwa, była
to w gruncie rzeczy ocena nihilisty-
czna.

Stając na jakimś skrajnie maksy-
malistycznym stanowisku, nie liczą-
cym się z życiem i nie biorącym pod
uwagę natury ludzkiej, Bakunin po-
pada w oczywisty nihilizm. I nihilis-
tycznie potępia wszelkie przejawy
zharmonizowania religii z rzeczywi-

stością człowieka współczesnego, ta-
kiego jakim jest naprawdę, ze swoją
słabością, ograniczonością i ułomno-
ścią. Tymczasem właśnie zasługą Ko-
ścioła jest jego realizm, znajomość
natury ludzkiej i jej staranne res-
pektowanie. Pogarda dla chrześcijań-
stwa stosowanego i maksymalistycz-
nego postulat: albo wszystko, albo nie
— są po prostu przejawami nihilizmu.

Rozróżnić należy dwie zgoła odrę-
bne sytuacje.

1. Oportunizm religijny w czystej
postaci. „Piorunochron“ osłaniający
egoistyczne formy bytowania i elimi-
nujący niepokój sumienia. Natomiast
zupełny brak wysiłku w kierunku na-
ginięcia się do wyznawanych ideałów
z religii wynikających.

2. Postulaty z chrześcijaństwa wy-
prowadzone zredukowane do granic
przeciętnych, słabych możliwości lu-
dzkich, ale w pewnej, choćby mini-
malnej mierze, urabiające środowisko
ludzkie. A więc chrześcijaństwo „sto-
sowane“, ale jednak będące w jakimś
stopniu dźwignią moralną i początkową
stopniowego, powolnego postępu.

Wypadek ad 1. może być rzeczywi-
ście potępiony bez reszty, ale ad 2.
zasługuje już na respektowanie. Nie
docenia zaś tego maksymalistyczny
nihilizm, który zbyt pochopnie rzuca
gromy potępienia na mieszczańskie
cnoty zachodnio-europejskiego chrze-
ścijaństwa.

Błąd wynikający z pogardy dla
przeciętności moralnej. Błąd bardzo
zasadniczy, bo przeciętność sama w
sobie nie jest zła. Prawdą życia jest
przeplatanie się doskonałości z nędzą
i wielkością ze słabością. Dlatego uc-
działem olbrzymiej ilości ludzi jest
przeciętność. I Kościół w mądrości
swojej słusznie ją toleruje.

Bo nie przeciętność jest zła. Ale
złem jest poprzestanie na przeciętno-
ści. Zadowolenie z niej i brak dążno-
ści do jej przewyżnienia. Brak buntu
do przeciwko przeciętności.

I właśnie brzydota tzw. „kultury“
burżuazyjnej na tym polega, że za-
sadniczym jej przejawem jest zgoda
na przeciętność i kontentowanie się
nią. „Burżujstwo“ to właśnie tkwie-
nie w przeciętności z pełnią samoza-
czerwolenia. Zupełny brak buntu i brak
tendencji, aby się przewyżnić, aby
wyjść poza własną małość.

W dramacie „Peer Gynt“ powiada
Ibsen: „Hasłem ludzi jest — bądź so-
bą, hasłem trollów — poprzestań na
sobie“. Otóż dewizą postawy burżu-
azyjnej jest: poprzestać na sobie. Reli-
gia uzgodniona z tą dewizą staje
się parodią „piorunochronem“. Prze-
ciętność pokropiona wodą święconą
przestaje nękać i niepokoić, pozwala-
jąc łatwo przytłumić aspiracje do
przewyżnienia się pobudzające.

To, co „burżujstwo“ najbardziej
od postawy katolickiej odróżnia, to
zupełny brak przejawów buntu i roz-
terki. Natomiast — nie waham się
powiedzieć — postawa katolicka jest
postawą buntu. W założeniu swoim
zawiera katolicyzm załączek konfliktu
ze światem i buntu przeciwko ogra-
niczoności i niedoskonaleści stworze-
nia. Na tym właśnie polega pewien
tragiczny rys katolicyzmu. I jeżeli
stwierdzenie tego nie wydaje się
czymś oczywistym, a raczej ma nawet
posmak wypowiedzianego paroksyzmu,
dowodzi to tylko, jak bardzo silne są
jeszcze sugestie myślowe pod ciśnie-
niem atmosfery burżujstwa ukształ-
towane.

Atmosfera ta bowiem działa na ka-
tolików powodując ich asymilację i
znieskształcając dawny, ze średnio-
wiecza jeszcze wywodzący się ideał
kulturalny. Pod tym ciśnieniem za-
tracał się coraz bardziej dynamiczny
ideał życia, ustępując miejsca poła-
niecczyźnie, tj. przeciętności wodą
święconą pokropionej i etykietą kato-
licką zaasekurowanej. Dochoździ do

ŚW. TOMASZ Z AKWINU

LAUDA, SION, SALVATOREM

(Sekwencja ze Mszy św. na uroczystość Bożego Ciała)

Zbawiciela chwał Syjonie,
W hymnów i kantyków tonie,
Wodza i pasterza.
Z całej duszy chwał Go śmiało,
Gdyż przewyższa wszystko chwałą
I co p eśń zamierza.
Przedmiot chwały dziś przedziwny,
Chleb żyjący i pożywny
Będzie opiewany,
Co przy świętej uczyto stole
Był w dwunastu uczniów kole
Najprawdziwiej dany.
Niech pieśń jasna i donośna,
Pełna wdzięku i radosna
Cieszy nas pospołu,
Gdyż obchodzimy dzień święteczny.
By w pamięci ważyć wieczny
Prawdów tego stołu.
Ucztą tą Król nowy dawa
Nowej Paschy nowe prawa
I dawna ustała.
Przed nowością przeszłość znika,
Cień od prawdy precz umyka,
Światłość noc wygnała.
Co Pan czynił przy wieczerzy,
Rzekł, że czynić nam należy
Dla Jego wspomnienia.
Pouczeni tą godziną,
Prz mieniamy chleb i wino
W ofiarę zbawienia.
Jest pewności naszej skała,
Ze się chleb przemienia w Ciało,
Wino krwią się staje,
Chciałz myśl i wzrok nie pojmie,
Wiara naszych dusz rękojmię,
Wbr w jawie nam daje.
P d różnymy postaciami,
Zewnętrznymi pozorami,
Skryty cud ogromny,
Ciało strawą, krew napojem,

Lecz Pan całym bóstwem swoim
W obu jest przytomny.
Przez biorących nie kruszony,
Nie łamany, nie dzielony,
Cały w nich się mieści.
Bierze jeden, tysiąc bierze,
Ten i ów w jednakiej mierze,
Nic nie ginie z treści.
Biorą dobrzy i grzeszniki,
Lecz nierówne są wyniki,
Życie lub zagłada.
Dla złych śmierć, dla dobrych życie;
Choć jednakie jest spożycie,
Jak różny los pada.
Hostii świętej okruszyna
Niech ci wiernie przypomina,
Ze to samo odrobina,
Co całość ukrywa.
Nic nie dzieli się w przedmiocie,
Tylko znak się kruszy w krocie,
Lecz nie w stanie i istocie
Pana nie ubywa.
Oto boski chleb Aniołów,
Dla pielgrzymów wśród padolów,
Dla synowskich jeno stołów;
Psom nie rzucać chleba.
Stare mieśej go Przymierze:
Izaak dany w ofierze,
Jagnię — na Paschy wieczerze,
Manna — ojcom z nieba.
O pasterzu, chlebie żywy,
Jezu, bądź nam litościwy,
Nakarm nas i nie gub mściwy,
Daj nam ujrzeć błogie dziwy
W żyjących krainie.
Znawco naszych dusz tajników,
Co nas żywisz, śmiertelników,
Uczyni nas współbiedniaków,
Współdziedziców i współników
W wybranych rodzinie.

Św. Tomasz z Akwinu

1) Jeśli przemówię tymi słowy:
O chwilę piękna, zostań mi!
wtećy mnie możesz wzręć w okowy,
niech będzie koniec moich dni.
Niech brzmia żałobą dzwonołka
nie,
niech z końcem służby twojej wraz
wskazówka spadnie, zegar stanie,
niech wtedy dla mnie minie czas.

tego, że pod koniec XIX i na początku XX stulecia taka właśnie postawa burżuazyjna uchodziła za katolicką. Ten ideał statycznej, a w gruncie rzeczy pozornej bogobojności przez katolików masowo adoptowany i jako katolicki powszechnie ogłaszany stał się przyczyną zrażenia do Kościoła elementów dynamicznych i etycznie naprawdę wartościowych. Niewielu bowiem było takich, którzy by potrafili myśleć równie wnikliwie jak Stanisław Brzozowski, który umiał przebić się przez tę narosłą skorupę „burżujstwa” i sięgnąć do głębi, odkrywając autentyczną, niesfałszowaną treść katolicyzmu w istocie swojej głęboko dynamiczną. I ten stan rzeczy w pewnej mierze utrzymuje się jeszcze do dnia dzisiejszego. Falszyfikat burżuazyjny wciąż jeszcze używa etykiety katolickiej.

Mówiliśmy powyżej o tragicznych rysach katolicyzmu. Słowa takie są dla niektórych przedmiotem zgorszenia, Stanisław Brzozowski mówi o Polsce „zdziecznialej”, która chce żyć sielanką i woli nie widzieć istotnych konfliktów i krzywd społecznych, aby — bróń Boże — nie wzbudzić niepokoju w sumieniach. Przedstawiciele Polski „zdziecznialej” to właśnie rodzime burżujstwo. Mieli oni też własną koncepcję katolicyzmu. Wynikał z niego ideał statycznej bogobojności, czyli burżuazyjnej bogobojności pozornej.

Mówiliśmy już powyżej o głównych elementach burżuazyjnego poglądu na świat. Te same czynniki wpłynęły też i na ukształtowanie się „katolickiego” ideału statycznej bogobojności. A więc: materializm praktyczny, optymizm i kwietyzm.

Louis Reynaud stwierdza słusznie zapewne, że optymistyczna filozofia J. Rousseau wpłynęła w sposób decydujący na ukształtowanie się poglądów społeczeństw mieszczańskich Europy w XVIII i XIX w.). 2) Była to filozofia optymizmu naiwnego, a w gruncie rzeczy także i optymizmu materialistycznego. I jako taka różniła się bardzo wyraźnie od przepojonej też optymizmem filozofii św. Tomasza z Akwinu. Naiwność Rousseau polegała na tym, że nie ostrzegł on i nie chciał brać pod uwagę skazania natury ludzkiej i przeto zamykał oczy na zło, biorąc życie w sposób jednostronnie uproszczony. Uczniowie jego z pokoleń następnych prowadzić będą walkę o nową formę pogrzebu tj. o krematoria. Albowiem dla ludzi o psychice burżuazyjnej krematoria staną się czynnikiem sztucznego pośpieszenia skali optymizmu życiowego 3). Przez zepchnięcie śmierci bardziej na margines i jak najdalej odsunięcie jej z pola widzenia uzyskuje się pozorne umocnienie stabilizacji życia doczesnego. Ten naiwny optymizm jest koniecznym warunkiem hedonizmu, bo gwarantuje on spokój i beztróskę użycia.

Optymizm ten fałszuje obraz życia, dając jego obraz jednostronny. I jako taki sprzeczny jest z realizmem. Śmierć jest faktem równie realnym jak życie. I faktem jest też przemijalność i niszczalność wszystkiego. Co stworzone i materialne, jak też skłonność natury ludzkiej do upadku i zła. Dlatego optymizm à outrance musi być optymizmem płytkim.

W przeciwieństwie do budyjkiej, filozofia katolicka nie jest przygnębiona wizją śmierci, ale element śmierci bierze w jego całej doniosłości pod uwagę i wciąga go do rachunku. Nie jest filozofią pesymizmu, ale nie zamyka oczu na zło i wciąga także do rachunku fakt, że w perspektywie świata doczesnego rozliczenia życiowe kończą się wielokrotnie triumfem zła. Odsyłając do wyrównania w świat wieczności i w świat ducha, liczy się z tym mocno — znając naturę

2) Louis Reynaud — „La démocratie en France”. — Paris 1938 — Flammarion.

3) Nie ma to nic wspólnego z krematoriami obozów koncentracyjnych. Chodzi o pogrzeb w formie spalania zwłok.

człowieka — że wyrównanie takie po ziemsku biorąc jest mało optymistyczne. Bo człowiek nie tylko z ducha się składa i naturą swoją głęboko tkwi w materii. Dlatego optymizm spraw wiecznych nie jest dla niego pozbawiony akcentów tragicznych.

A Kościół bierze człowieka takim, jakim jest. Nie abstrakcją człowieka, ale żywego, z duszą i ciałem, z ułomnością, słabością, skłonnością do upadku i bezradnego. I dlatego rozumie Kościół, że przemijanie form materialnych jest źródłem cierpienia i tragizmu. To też chociaż w prefacji żałobnej śpiewa się Vita mutatur non tollitur, ale jednak kolor liturgiczny mszy św. żałobnej jest czarny.

Ideał bogobojności statycznej był ideałem optymistycznym, ale w duchu owego optymizmu w istocie rzeczy zarówno naiwnego jak i materialistycznego. Stąd jego treść formalnie tylko i pozornie katolicka, w rzeczywistości tkwiąca głęboko w ideologii „burżujstwa”. Z katolicyzmu akceptuje się tyle tylko, ile potrzeba, aby zapewnić spokojny, szczęśliwy i beztróski obraz życia. Pomija się zaś to wszystko, co z owym ideałem statycznym mogłoby kolidować.

Ten ideał życiowy zasadniczo nie wyklucza wcale doskonalenia się. Ale dopuszcza tylko postęp łagodny, postęp bez konfliktów, bez ofiary i bez potrzeby przewycięzania się. Pomija natomiast fakt dla rozwoju duchowego „kardynalny”, a mianowicie fakt ukrytej sprzeczności wewnętrznej pomiędzy doskonaleniem się i użyciem. Fakt, którego konsekwencją jest cała nauka i praktyka ascezy chrześcijańskiej. Prastara bowiem nauka chrześcijańska, oparta na doświadczeniu stwierdza, że zupełność dosytu i nieograniczone użycie nie stwarzają klimatu dla moralnego postępu właściwego. Stąd postulat przewycięzania się, postulat ascezy.

I na tym właśnie polega tragiczny rys katolicyzmu, że nie pozwala wszystkiemu mieć dla siebie, że nie można być ani posiadaczem doskonałości ani posiadaczem szczęścia. Że trzeba bezustannie wybierać i wyrzekać się. Dla osiągnięcia jednych wartości trzeba poświęcać inne. Bo dynamika życia chrześcijańskiego nie uznaje trwania — zna tylko stawanie się. Jest wspinaniem się po szczeblach drabiny, gdzie chwytając za szczebel wyższy zaraz opuścić trzeba szczebel, na którym się dotąd stało.

Tymczasem najistotniejszym założeniem burżujstwa jest statyka i posiadanie. Poćobnie i „katolicki” wariant tej postawy.

VI

Goethe nie rozwiązał właściwie głównego problemu faustowskiego. Ocalenie Fausta w końcu drugiej części tragedii ma w dużej mierze charakter „Deus ex machina”. Faust formalnie zakład z diabłem przegrał. Nadeszła chwila, którą z upodobaniem chciał kontemplować i zaprzagnął zatrzymać ją na zawsze. Wypowiedziane zostały słowa, które wedle umowy miały być formułą kapitulacji wobec Mefistofelesa. Ale cały monolog, który słowa te zamykają, nie uzasadnia kapitulacji.

Faust w zachwycie kontemplanuje chwilę. „Im Vorgefühl vom solchen hohen Glück, geniess ich jetzt den höchsten Augenblick...”. Dosłownie mowa tu jest o użyciu chwili. Ale nie wiemy, jakim było to użycie. Dlatego słowa te niewiele mówią. Ocena ich zależy od treści przeżycia, a więc treści owego „użycia”. Nie wiemy zaś, jak Faust tę szczęśliwą chwilę ujmował. Czy było to egoistyczne użycie w duchu „burżujstwa”, czy też kontemplacja tego, co chwilę aktualnej dane jest jako doskonałe i co ma wartość wieczną. Dlatego nie wiemy, co chciał Faust zatrzymać: wartość wieczną, aktualizującą się w chwili, czy tylko własne doznanie przyjemności. Ocena dla każdego z tych wypadków wypadnie zgoła inaczej.

Zamieściłem w „Tygodniku Powszechnym” artykuł broniący prawa do symbolicznego kieliszka wina. Artykuł skierowany był przeciwko pu-

rytanizmowi i tezy jego w pełni tutaj potrzymuję. Purytanizm charakteryzowałem tam jako postulat wyrzekania się czegoś, co samo w sobie nie jest złe, a tylko ewentualnie mogłoby do zła prowadzić, czy ewentualnie stwarzać okazję do grzechu.

Purytanizm jest zły, bo usiłuje on życie nasze ograniczyć i zredukować. Bez żadnej koniecznej potrzeby czyni życie mniej pięknym, mniej powabnym, odbierając człowiekowi dużą część radości z używania rzeczy stworzonych płynących. Dlatego przez z ponurym purytanizmem!!

Człowiek współczesny, a także współczesny katolik jest z reguły niemal optymistą. Dlatego, poza nielicznymi nowocześnie trzymającymi się na ogół tomizmu, znajdującymi w filozofii św. Tomasza z Akwinu podstawę dla optymistycznego poglądu na świat. Toteż rości on sobie prawo do szczęścia doczesnego na ziemi i wymóg taki wyraźnie formułuje, stawiając go jako jeden z ważnych celów życia. Wierzy on w możliwość szczęścia doczesnego i do zrealizowania jego dąży. Zadowolenie więc z używania rzeczy stworzonych uważa za rzecz dobrą, pragnie go i sięga po nie. Jest to postawa absolutnie dominująca.

Otóż, jak stwierdziliśmy powyżej, zupełnie podobne wyciąją się też i aspiracje życiowe na podłożu postawy burżuazyjnej wyrażające. Tam przecież afirmacja szczęścia doczesnego ma znaczenie dominujące. A jednak zachodzi zasadnicza różnica między postawą burżujstwa a postawą nowoczesnej, stającej się kultury katolickiej. Chodzi o inną treść zadowolenia i szczęścia.

W ujęciu burżujkim prawo do zadowolenia i szczęścia ma charakter bezwzględny. Zadowolenie i użycie jest tu celem samo w sobie. Chodzi o przeżycie zadowolenia jako takiego i na tym koniec. Stąd egoistyczny charakter szczęścia. Jakaś — jak by powiedział Stanisław Brzozowski — „bezwyjątkowość” — przeżycia. Chwila zadowolenia jest chwilą zadowolenia i na tym koniec, co niczego lepszego nie prowadzi, nie twórczego nie zapowiada. Celem jest tylko dosyt — a dosyt kończy się przesytem. Ta egoistyczna koncepcja szczęścia statycznego, nie wymagająca przewycięzania się prowadzi musi do pogłębienia egoizmu i jest ujemną szkołą charakteru. Burżujstwo jest afirmacją szczęścia, które jest szczęściem nieograniczonego dosytu.

Ernest Hello w swoich świętych szkicach analizował szczegółowo tę postawę. Utkwił mi w pamięci fragment o podróżach. Podróż w stylu „burżujstwa” ma taki tylko sens, że aktualizuje przeżycia przyjemności i dostarcza pożywkę dla zaspokojenia zachłannego snobizmu. I, powiada Ernest Hello, nie ma gorszego nieszczęścia dla bliźnich, jak burżujka para małżeńska, która wróciła z podróży. Zameczają innych niekończącym się opowiadaniem o przeżytych wrażeniach po to tylko, aby polecać snobizm i raz jeszcze uaktywnić własne doznanie przyjemności. Jest to wierna fotografia jeźdźcy z fragmentów „burżujstwa”. Przykład jałowości i płytkości zadowolenia.

Zagadnienie katolickiej koncepcji zadowolenia i szczęścia wymaga osobnej monografii. Rzucam tu luźne myśli, próbując w kilku punktach zarysować postawę kulturze katolickiej właściwą. Są to tylko najbardziej ogólne wytyczne.

1. W ujęciu katolickim zadowolenie i szczęście doczesne nie jest celem samo w sobie. Celem jest rozwój wszechstronny, doskonalenie się i zbawienie człowieka. Sprawa zadowolenia i szczęścia ma znaczenie wtórne. Może być dobre lub złe, w zależności od tego, ku czemu prowadzi. Stąd chwila zadowolenia odniesiona zostaje do całości, ujęta w całości kształcie rozwoju osobowości. Skonfrontowana z prawdą dalekich dróg i przeczona ludzkich.

2. Istotą zadowolenia i szczęścia nie jest tylko przeżycie przyjemności

ci. Metafizyka katolicka uznaje obiektywne dobro i obiektywne piękno. Zadowolenie chrześcijańskie to zachwyty dla dobra i piękna. A więc oddanie się dobru i pięknu. Oddanie się dobru i pięknu oznacza wyjście poza siebie. Jest więc przewycięzaniem zasklepionego w sobie egotyzmu. Jest przeto rozszerzeniem, rozbudowaniem osobowości.

3. Zasadniczo biorąc każda rzecz lub zjawisko będące przedmiotem zadowolenia oddziałuje na nas w sposób różnorodny. Stąd przeżycie zadowolenia ma też charakter złożony. Dlatego chwila zadowolenia wymaga rozbicia na atomy. Wychwycić należy przeżycia niższe i wyższe. Wyseparować to, co jest tylko źródłem zmysłowego doznania przyjemności oraz przeżycia o wyższej wartości, kryjące w sobie coś niezniszczalnego. Dobrze uchwycił to Jerzy Zagórski w wierszu „Pióropusz”: — „Wszystko co piękne jest, przemija, wszystko co piękne jest, zostaje”. Bo w każdym pięknie jest coś przemijającego, niepełnego i coś, co jest doskonałe, niezniszczalne.

Parafrazując powiedzieć by można: Wszystko, co dobre jest, przemija — wszystko, co dobre jest, zostaje.

Radość prawdziwa i zadowolenie prawdziwe, godne tej nazwy w kategoriach metafizyki katolickiej, polega na wychwyceniu i kontemplowaniu tego, co choć dane nam jest jako przemijające, ale nosi piętno doskonałości i przeto ma wartość wieczną. Przedmiotem właściwym kontemplacji w szczęściu jest właśnie owa wartość nieprzemijająca.

4. W istocie zadowolenia leży tendencja do dosytu. Z każdym zadowoleniem wiąże się nierozłączne pragnienie trwałości i dosytu. Ale trwałość dosytu jest zaprzeczeniem rozwoju. Stąd sprzeczność wewnętrzna dwóch ludzkich tendencji: tendencji do szczęścia i do doskonalenia.

Założeniem kultury na prawdę chrześcijańskiej jest nieeliminowanie i nietytuowanie tego konfliktu. Konflikt taki musi być zawsze aktualny. Życie twórcze polega na ciągłym ścieraniu się i jest ciągłym dokonywaniem wyboru. Stała aktualność konfliktu i ciągła potrzeba wybierania rodzi nakaz życia czujnego, życia w gotowości, w postawie na baczność. Tendencją „burżujstwa” jest inercja i dlatego ideał burżujski eliminuje konflikty. Życie chrześcijańskie jest życiem w gotowości i chrześcijanina nie straszy perspektywa ciągłego zmagania się ze sobą.

Purytanizm jest zły, bo jest sumą sztucznych negatywnych zakazów, jest zły, bo w sposób schematyczny zagradza drogę do zadowolenia i radości ze świata. Chrześcijanin nie potrzebuje rezygnować z zadowolenia i wyrzekać się użycia dobru tego świata. Ale obowiązkiem jego jest czujność. Musi raz po raz kłaść na szalę, porównywać i wybierać ciągle wyższe wartości. Musi raz po raz wybierać między zadowoleniem i ascezą. Albowiem naturalna skłonność do zadowolenia i chrześcijański nakaz ascezy muszą być w całokształcie życia ze sobą zharmonizowane. Syntezą życia musi być harmonia ascezy i zadowolenia. Dlatego wolno jest oddać się zadowoleniu, ale nie wolno ani na chwilę zapomnieć o syntezie. Stąd stała dynamika, stałe harmonizowa-

nie i pełne odpowiedzialności dokonywanie wyboru. Owa harmonijna syntezą jest gwiazdą przewodnią każdego życia chrześcijańskiego i nigdy sprzed oczu jej stracić nie wolno.

W średniowieczu konflikt: asceza — szczęście miał ostry przebieg. Idee augustiańskie były jeszcze mocne i stąd duża doza nieufności w poglądzie do szczęścia i w ogóle tendencje do patrzenia na świat jako na domenę szatana. Pomimo zupełnie wyraźnego prymatu idei ascezy, w praktyce bezustannie wybiegano ku szczęściu. Życie było ciągłym oscylowaniem pomiędzy tymi skrajnościami. I to rozdarcie nadawało wyraźne piętno całej kulturze wieków średnich.

Konflikt ten, jakkolwiek w życiu indywidualnym był powodem cierpienia, w skali ogólnej odegrał pozytywną rolę twórczą. Pomimo wyraźnej przewagi idei ascezy, mającej za sobą oficjalną sankcję Kościoła, życie układało się jednak po linii wypadkowej. Chrześcijańska idea przewycięzania się dała jedyny w dziejach Europy okres kultury o zdecydowanym prymacie ducha. Pomimo pewnej jednostronności, wynikiem konfliktu był obraz kultury w zasadniczych swych rysach harmonijnej.

Sprzeczności te my dzisiaj znacznie mniej kontrastujemy. Dążeniem katolika nowoczesnego jest znalezienie jakiejś głębszej harmonii. Średniowiecze godziło sprzeczności raczej drogą następowania w czasie, separując je momentem czasu. Chwile ascezy były ekspiacją po chwilach dosytu. Rozwiązanie takie wydaje się raczej naiwne. Ktoś dowcipnie rzucił taką uwagę. Na jednym z cmentarzy klasztornych widzi się tablicę grobową: „Ojciec XY - lat 77, w klasztorze 5”. Może to jest najlepsze połączenie szczęścia i ascezy? Reagujemy na to uśmiechem. A przecież droga Krystyny córki Lawransa była w średniowieczu często praktykowana. Cisza klasztoru i ekspiacja po buntach życia.

Ale katolik współczesny dąży do bardziej istotnej syntezy, do syntezy, która byłaby symbiozą. I widzimy, że w praktyce współczesnego życia katolickiego elementy te zaczynają na siebie zachodzić, zaczynają przeplatać się ze sobą, współistniejąc czasowo w tym samym akcie. W każdym zadowoleniu jakiś akcent wyrzeczenia i przebłyki zadowolenia wśród ascezy. W najsurowszych kontemplacyjnych klasztorach radość ma prawo obywatelstwa, a w pełni życia światowego dąży do tego, by ton ofiary i ascezy uzupełnił jakoś każdą radość i szczęście.

Dotykamy tu jeźdźcy z najgłębszych paradoksów katolicyzmu. Jego całkowite rozwiązanie jest jednym z naczelnych zadań nowej, stającej się kultury katolickiej. Jakkolwiek zostanie to rozwiązane, rozumiemy w pełni nieuchronność stałego ścierania się tych dwóch przeciwnych tendencji. Konflikt musi trwać i w życiu naszym bezustannie ma się rozstrzygać. Ze starcia tego urasta harmonia życia indywidualnego i harmonia kultury.

Zrodzone z ducha burżujstwa próby wyeliminowania konfliktu i wytyczenia stałej linii granicznej zakończyły się fatalną dekadencją kultury.

Stanisław Stomma

Przedruk ze „ZNAKU”

NOWOŚĆ NA ROK ŚWIĘTY RZYM UMOCNIE NIEM NASZYM

Praca zbiorowa z pięknymi ilustracjami

Dział organizacyjny w opracowaniu ks. mgr. H. Kornackiego.

Dział ideowy redakcji Dr. Władysława Facchinetti'ego
Str. 64. Cena 3/6 plus 6 d porto

Na składzie: KATOLICKI OŚRODEK WYD. VERITAS
12, Praed Mews, London W. 2.

JÓZEF JASNOWSKI

WALLENROD WŚRÓD KIRGIZÓW

NAD URalem I W STEPACH KIRGIZKICH

W ROKU 1823 policja rosyjska w Kirozach wykryła nielegalne zrzeszenie, założone przez uczniów miejscowego gimnazjum pod nazwą Związku Braci Czarnych. Związek ten miał za zadanie wyrabianie wśród swoich członków cnót obywatelskich i osobistych, samokształcenie, głównie w zakresie dziejów Polski, oraz wpótdziałanie z filomatami wileńskimi. Gdy wiadomość o tym doszła do Nowosilcowa, uznał on cele Związku Braci Czarnych za zagrożające imperium rosyjskiemu, nakazał uwięzienie jego członków i przewiezienie ich do więzienia w Wilnie. Tu ich stawiono przed sądem i skazano na dożywotnią służbę w szeregach armii rosyjskiej w jednym z garnizonów stacjonowanych na pograniczu Azji.

Scenę załadunku Krozian do kibitek, przed wyruszeniem w tę straszliwie daleką podróż, opisał Mickiewicz w trzeciej części „Dziadów”. Ów najmłodszy, co to nie mógł podźwignąć łańcucha kajdan, którymi był skuty, był współzałożycielem Związku Braci Czarnych i jednym z najczynniejszych jego członków, miał w rzeczywistości czternaście lat i nazywał się Jan Witkiewicz.

Celem podróży tych osobliwych przestępców była twierdza Orsk nad rzeką Uralem, u podnóża gór Uralskich. Skazani przybyli tu zimą 1824 roku, zostali rozkuci z kajdan i wcieleni w szeregi miejscowego batalionu, jako prości żołnierze. Z miejsca też poddano ich rygorom twardej służby, obowiązującej rosyjskiego soldata.

W tym samym mniej więcej czasie przybyła do pobliskiego Orenburga (dziś Czałow) grupa filomatów wileńskich z Tomaszem Zanem na czele, który wnet stał się duchowym przywódcą zarówno swoich przyjaciół z Wilna jak i Krozian. Mając nieco łagodniejsze warunki zesłania oraz większe doświadczenie — ponawiał kontakty z przyjaciółmi, rozprowadzał po całym imperium rosyjskim, zdobył książki i zaczął studiować, tłumaczyć autorów angielskich i francuskich na język polski, badać przyrodę i życie miejscowej ludności i innych do tego zachęcać.

Jeśli chodzi o ten ostatni rodzaj badań, to prześcignął Zana wytrwałością i rezultatami ów najmłodszy spiskowiec z Kroz, Jan Witkiewicz. Znalazłszy się w Orsku, wtłoczony w mundur soldacki i w związany z nim uciążliwy tryb życia, oderwany tak wcześnie od rodziny — marzył o jednym tylko: o jak najrychlejszym powrocie do swoich, marzył wbrew wyrokowi skazującemu go na soldactwo na całe życie.

W marzeniach swych jednego tylko nie brał pod uwagę: powrotu do domu tą samą drogą, którą przybył do Orska. Widział ją z wysokości kibitki i z postojów na etapach, odczuł ciężarem kajdan, które dźwigał przez tyle dni i upokarzającym spojrzaniem spotykanych po drodze Rosjan. Tak, tą drogą nie było powrotu! Otworem stała natomiast droga inna: na przelaj poprzez Azję do Indii lub Persji, a stąd do Arabii. A dalej było już Morze Śródziemne, Europa, Polska, Litwa, święta Żmudz i rodzinna wieś Poszawiszki.

Jeśli się ma —naćie lat — czy mogą istnieć jakieś przeszkody przed wyruszeniem w tę drogę? Witkiewicz widział tylko jedną: nieznaną języków ludów azjatyckich. To też przeszkodę tę postanowił obalić przed wyruszeniem. Ze szkoły w Krozach wyniósł znajomość francuskiego i łaciny, co dało mu dobre podstawy zasał gramatyki, niezbędne przy uczeniu się języków. Najwięcej jednak do tego dopomogły mu wrodzone zdolności oraz doskonała pamięć. Pełniąc stale służbę jako prosty soldat, w stosunkowo krótkim okresie czasu nauczył się tureckiego, arab-

skiego i perskiego, zdobywszy sobie za pośrednictwem przyjaciół-zesłańców potrzebne do tego podręczniki i słowniki.

Największy jednak podziw zjednał mu szybkie nauczenie się lokalnych narzeczy ludów kirgizkich, koczujących na olbrzymim obszarze od rzeki Ural aż po pustynię Kizil Kum; znajomość tych narzeczy była mu nie mniej potrzebna przy realizowaniu planowej ucieczki, niż znajomość perskiego czy arabskiego. O ich opanowaniu musiały zdecydować nie pilne studia gramatyczne, ale osobiste obcowanie z ludnością kirgizką. Z ludnością tą wszyscy naogół zesłańcy polscy starali się żyć w jak najlepszych stosunkach; udawało im się to zresztą o wiele lepiej, niż rodowitym Moskalom i ich najemnikom, którzy wciskali się do Azji po to, by ujarzmić jej wolne ludy. Szczególnym jednak upodobaniem cieszyli się nasi zesłańcy u kirgizkiej pki pięknej. Nawet Tomasz Zan: światobliwy, metafizyczny, promienisty i uduchowiony — nawet on nie gardził ziemskim towarzystwem pięknych Kirgizek i bardzo je sobie chwalił, zwłaszcza na długich wycieczkach w góry lub w stepy. „Kolor dziewczyny doskonałej — pisał do Adama Mickiewicza pod wrażeniem urody Kirgizek — jest najwładniejszą mieszanką wszystkich pojętych dla człowieka kolorów; zapach harmonijny zbioru podobnie wszelkich zapachów“.

Entuzjazm pana Tomasza dla pięknych Kirgizek podzielali również i młodzi Krozanie i to w większym jeszcze stopniu. Jeden z nich posunął się w tym entuzjazmie tak daleko, że jego ubóstwiona znalazła się w stanie, który romantycy nazywają błogosławionym a prozaicy odmiennym, a który nawet w kirgizkich stepach jest dla kobiety stanem kompromitującym, o ile przydarzy jej się przed zamążpójściem. Niefortunny wielbiciel tak się przeraził tego nieoczekiwanego ojcostwa — że postanowił się wynieść z Orska — a że i inni Krozanie nie mieli zupełnie czystych sumień — więc stanęli z nim gromadnie do raportu z prośbą o przeniesienie ich do wojsk przyfrontowych. Spełnieniu tej prośby przeszkodził Witkiewicz. I on też się zakochał (w Kirgizce zapewne), — a że miał sumienie czyste i nie chciał się rozstawać ani z przyjaciółmi ani z ukochaną — uprosił dowódcę garnizonu, o odmowną odpowiedź dla swych przyjaciół.

W owym czasie Witkiewicz nie był już owym słabym uczniakiem-skażanem, który nie mógł udźwignąć własnych kajdan. Z biegiem lat wyrósł na urodziwego i postawnego młodzieńca, który w dodatku zdołał opanować szybko kilka azjatyckich języków. Ta znajomość a szczególnie znajomość mowy Kirgizów utorowała mu drogę do wyróżnienia u „naczalstwa“. W wypadku sporów czy targu z okoliczną ludnością — posługiwano się polskim zesłańcem jako tłumaczem i rozjemcą. Spełniał tę czynność zawsze z powodzeniem.

Zamiarowi jego ucieczki z wojska poprzez Rosję stanęła na przeszkodzie owa romantyczna miłość, która trzymała go w Orsku, w pobliżu ukochanej. Tymczasem zaczęły następować szybko przedziwne wydarzenia, które zmieniły całkowicie nie tylko jego plany, ale i bieg jego losów.

W maju 1828 zawitał nad Ural niezwykle gość: tomik wydane gołównie w Petersburgu poematu Mickiewicza „Konrad Wallenrod“. Otrzymał go od autora Zan i odczytał jeden wtem, będąc chory, w gorączce. Słowa poematu podzielały nań jak najlepsze lekarstwo: przywróciły mu zdrowie. „Konrad Wallenrod“ zaczął krążyć wśród zesłańców. Jednych porwała wizja ojczystej Litwy, prze-

bijająca wyraziście z każdego wiersza utworu — innych znów jego przedziwna treść i dramatyczne losy bohatera. Witkiewicz należał do tych ostatnich. Poemat Mickiewicza, pełen czarownych obrazów Litwy, był równocześnie, dla czytających go w tych osobliwych warunkach, przesycony głuchą żądzą zemsty. Zakon krzyżacki, nieistniejący już wówczas, jakoś dziwnie się skojarzył z Rosją-ciemnocielką i przypomniał mimowoli Witkiewiczowi łańcuch bolesnych doświadczeń doznanych od niej, od aresztowania w Krozach aż po dni ostatnie. Losy Mickiewiczowskiego bohatera zaczęły mu się kojarzyć z jego własnymi losami. Idea skrytej, długo planowanej zemsty znalazła podatny grunt w duszy Witkiewicza i zaczęła powoli kiełkować.

Narazie jednak powrócił do dawnego planu i postanowił uciekać przez stepy kirgizkie, do Persji lub Afganistanu. Z różnych jednak przyczyn plan ten odstąpił przez szereg miesięcy, licząc się niewątpliwie z trudnościami, których dawniej nie widział. Ostatecznie jednak, tym razem ucieczka została poniechana, a stało się to z następującego powodu.

We wrześniu 1829 zjawił się nad Uralem światowej sławy, baron Aleksander Humboldt, podróżujący po Rosji na zaproszenie samego cara. Głównym przedmiotem zainteresowań Humboldt'a były złoza geologiczne gór, ciągnących się szerokim pasmem od morza Kaspijskiego aż po rzekę Ob, ze szczególnym uwzględnieniem żył złotożłonnych, złóż drogiej kamieni oraz rud platyny, metalu, który wówczas zaczynał być w modzie. Interesowało go ponadto odchylenie igły magnetycznej na poszczególnych szerokościach i długościach geograficznych, temperatura, opady, fauna i flora, a na samym już końcu — człowiek i to tylko w jego azjatyckiej odmianie. O samych Rosjanach miał bowiem pan baron z góry urobione pojęcie.

Znalazłszy się na krótkim postoju w Orsku, dowiedział się że zdziwieniem o przebywającej tam grupie Polaków - zesłańców w armii rosyjskiej i z większym jeszcze zdziwieniem o tym, że jeden z nich, prosty soldat, mówi po kirgizku jak rodowity Kirgiz i zna ponadto arabski, perski i turecki. Traf zdarzył, że na czele eskortującej Humboldta grupy żołnierzy kirgizkich, gdy jechał z Orska do Chabarnoje, był właśnie ów tajemniczy Polak, Jan Witkiewicz. Ze szkoły wyniósł on niezłą znajomość francuskiego i nie zapomniał go nawet nad Uralem. Można zwrócić się do Humboldta w tym języku od razu ujawniła niewidzialną więź, jaka łączyła w owym czasie wszystkich prawdziwych Europejczyków, niezależnie od miejsca, na którym się znaleźli. Witkiewicz nie omieszkiał opowiedzieć Humboldtowi dziejów swej podróży nad Ural w skutych „na głucho“ kajdanach, swoich zapamiętałych studiów nad językami azjatyckimi, podjętych dla jednego — jedynego celu: ucieczki z Rosji poprzez Azję. O zamiarze tej ucieczki opowiedział mu zresztą z pełnym zaufaniem, Humboldt jej niewątpliwie nie odradzał, ale i nie zachwalał. Widząc w młodym człowieku rzadkie zalety umysłowe, chciał go raczej zachować dla nauki i dlatego też powziął z nagłą myślą przyjsia mu z pomocą. Na odjeździe obiecał mu wstawiennictwo u najwyższych władz, skoro tylko znajdzie się w drodze powrotnej, w Petersburgu i radził czekać na skutki swej protekcji.

Witkiewicz po tym spotkaniu zawałał się znowu w swoim zamiarze ucieczki i postanowił czekać na wyniki obietnicy Humboldta. Ten słowa danego polskiemu skazańcowi dotrzymał i tak usilnie w jego sprawie za-

MIECZYSLAW LISIEWICZ

GENIALNE PLANY

Krecia bajka

Gęsi to mądre ptaki, nie dziś to odkryto Wynałazy lot w szyku, zbawiły Kapitol, Uratowały przez to cały świat zachodni. Bez nich chodzilibyśmy do dziś dnia bez spodni...

Gęsi lubią murawę, bowiem szczypląc trawę Mają zdrowe jedzenie i miłą zabawę. Jednak łąka jest łąką, zaś w niej tkwi to sedno. Ze sto żdźbeł zadcpczesz, nim wyskubiesz jedno. Więc gęsi rozważały jak trawie nie szkodzić. Jeść trawę, lecz zarazem po trawie nie chodzić.

Utarło się, że najlepiej po radę do kreta. Kret w estymie zwierzęcej górny trzymał etat, Jako spec od budowli, planmistrz znakomity. Znacząca podziemnej trakcji, strateg i architekt. To że ślepy, twierdzono, ni grzeje ni ziębi, Widzieć może nie widzi, zato myśli głębiej.

Więc gąski wprost do kreta ze sprawą murawy, Kret zaraz rzecz rozstrzygnął bez długiej rozprawy: Nie chcecie jeść z nad ziemi, czemu nie z pod ziemi. Czy chcecie mnie powierzyć sprawę... Chcemy, chcemy. Tylko pod ziemią ciemno — kwacze delegacja. Przesada — kret się rzucił — histeria, prostracja! Pod ziemią równie jasno, jak na ziemi wszędzie. Zresztą mnie rzecz zostawcie, mówię: byczo będzie! Ton i ostrość wymowy zaskoczyły gości. Umilkli. Milczeć trzeba w obliczu mądrości. Tylko schyliły głowy. Tak się rzecz zaczęła. Kret zaraz energicznie zabrał się do dzieła.

Więc przede wszystkim łąkę tunelami porył, Na świat w małych odstępach wybiwszy otwory. Tak małe, by gęś tylko pomieściła głowę. Potem zawoiał gęsi, oświadczył: gotowe!

Zamiast łąką, pod łąką dojdziecie do zarcia. Lecz przody czas pomyśleć o święcie otwarcia. Zaprosić dostojników. Rozumiecie same, Każda mądrość na świecie musi mieć reklamę.

Niestety do podniosłej nie doszło zabawy, gdy (a) gęsi górniczej nie miały zaprawy, (b) kret ryjąc tunele w poprzek gęsiej łąki W zapale pracy wszystkie uszkodził korzonki...

Morałem skończyć bajkę wcale nie jest trudne, Niestety oklepane, a więc przez to — nudne. Jednak tradycji prawa niezmiennie i stałe Nakazują mi bajkę zakończyć MORALEM. Nie chcąc tedy korzystać z utartego toru, Kilka morałów Państwu daję do wyboru: MORAŁ (I) Gdy szukasz specjalisty, to się wprzody dowiedz; Czy będąc Sokratesem ma też oczy w głowie. MORAŁ (II) Lepiej jest starą drogą bez ryzyka kroczyć, Niż nową iść za ślepym, przymykając oczy. MORAŁ (III) Ważne to co nad ziemią, o równym znaczeniu, Bywa to co pod ziemią, choć się kryje w cieniu. MORAŁ (IV) To że czegoś nie widzisz, nie dowód, że nie ma. W tej tezie wszelkiej wiedzy kryje się dylemat. MORAŁ (V) Nim ogłosisz się mądrym, wprzody sobie powiedz, Że wszystkiego nie zmieścisz w swojej ludzkiej głowie. MORAŁ (VI) Nie każ gęsiom pracować na warunkach krecich, Kret także w kluczu gęsim nie potrafi lecieć. MORAŁ (VII) Z naturą nie ma żartów, pamiętajcie dzieci, Że nie wy planujecie, jak księżyc ma świecić.....

Mieczysław Lisiewicz

biegał, aż obiecano zamianę zastosowanej do Witkiewicza kary. Po wielu miesiącach przyszedł z Petersburga rozkaz przeniesienia go z Orska do kancelarii garnizonowej w Orenburgu.

Gubernatorem orenburskim był wówczas Bazyli Perowski, sam potrosze podróżnik i niezły znawca spraw bliskiego i dalekiego Wschodu. To zainteresowanie ukoronowało Witkiewiczowi drogę do jego względów a przez niego do generała Suchtelena, komendanta wojskowego okręgu orenburskiego, kulturalnego Inflantczyka. Ci dwaj ludzie, osadzeni w

kluczowym miejscu, w środku wielkiej bramy, wiodącej do Azji Centralnej, byli bardzo wrażliwi na wszystko co dotyczyło jej spraw i jej polityki. Witkiewicz stał się wkrótce dla Perowskiego i dla Suchtelena prawie że niezastąpiony. Jego umiejętność podejścia do ludów stepowych była nie do naśladowania. To też, aby mu bardziej jeszcze ułatwić z nią kontakty, wystarano się dlań o nominację na stopień chorążego. Było to wszystko, co narazie można było dla byłego katorżnika uczynić.

Józef Jasnowski
(Część II-ga w dalszych numerach)

TEATR

„OBERŻYSTKA” C. GOLDONIEGO

Trudno dociec, co skłoniło dyrektora Teatru im. J. Słowackiego do wystawienia „Mirandoliny” C. Goldoniego, przeffasonowanej na „Oberżystkę” i skurtyzowanej o dwie osoby, które (na pewno przez chwalebna oszczędność) przesunięto za kulisy. Może decyzję tę spowodowało powodzenie tej komedii we Włoszech, gdzie wystawiona była przez Teatr 2-go Korpusu, a może chęć przedłużenia fali powodzenia, jakim cieszyła się lekka i także na włoskich motywach oparta sztuczka Napoleona Sądka „Kwatera nad Adriatykiem”. Nie warto zastanawiać się nad przesłankami tego wyboru, bo nie ma wątpliwości, że był całkowicie chybyony.

Pomijam już fakt, że „Oberżystka” „myszką traci” — „Wojna kobiet” Scribe’a, którą wystawił na jesieni Teatr „Sztafeta”, niewiele była młodsza, a jednak miała sens i zasłużone powodzenie. Rzecz w tym, że C. Goldoni, który dla Włochów może być ważny jako reformator i ojciec klasycznej komedii włoskiej (gdyż pierwszy zerwał z konwencją teatru del arte), błędnie przy naszym serdecznym i ogólnoludzkim Fredrze, nie mówiąc już o Mollere. Utwory jego są w gruncie rzeczy suche, często fałszywe psychologicznie i bardzo mógowe. Tylko gra świetnych aktorów włoskich ratuje je jeszcze dziś przed zasłużonym spoczynkiem i zapomnieniem, albo honorową gablotką w muzeum.

„Oberżystka” jest typowym przykładem wad twórczości włoskiego Fredry (si licet parva magnum comparare). Oparta na motywach chorobliwej zalotności, wygrywa ten jeden motyw dość płytko i nawiśnie, podpierając go z gruba ciosanymi typami skąpca (Markiz), rozrzutnika (Wicehrabia) i „wroga kobiet” (młody szlachcic), który szybko (stanowczo za szybko!) popada w jasyr miłosny pięknej Mirandoliny. Drugoplanowe postacie obu służących zrobione są według tej samej recepty, charakterystycznej dla ubóstwa psychologicznego włoskiego autora osiemnastego wieku. O ile postacie Fredry i Mollera, będąc także typami — niekiedy niemal symbolami wad ogólnoludzkich, czy narodowych — zachowują dość ciała i indywidualności, aby żyć na scenie własnym życiem, bawić i uczyć, o tyle papierowe twory Goldoniego są tylko marionetkami: każdą z nich porusza jedna tylko sprężyna. Przy pierwszych słowach każdego aktora odkrywamy z łatwością klucz nakreślający tę sprężynę: zgrzyt jego towarzyszy nam już nieubłaganie przez wszystkie akty: pozbawia rozkoszy niespodzianki, a nawet psuje przyjemność śledzenia gry aktorów.

Pod względem czysto teatralnym „Oberżystka” wymaga bardzo bogatej wystawy i oddechu prawdziwej sceny. Teatr Słowackiego wykosztował się (czy kogós) na dobre kostiumy, ale nie mógł rozsunąć ścian „Ogniska”. W dodatku dekorator (wcale dobry), p. S. Miłkula, wbudował w małe scenę dodatkowe schodki z poręczą, zmniejszając obszar życiowy zalotności panny Katelbachówny i dąsów p. Blichewicza do rozmiarów karykaturalnych. Gdy ten ostatni w trzecim akcie (na premierze prasowej) wpadł w wielki gniew i przewrócił ciężkie dębowe krzesło, spadło ono na widownię i o mało nie pozbawiło emigracji (a w każdym razie dwóch miast polskich za linią Curzona) najprzekorniejszego i bodaj najbardziej błyskotliwego publicysty. Oto skutki nieopatrzności doboru sztuk i lekkomyślnej reżyserii!

Mimo tych wszystkich niebezpieczeństw Teatr Słowackiego, a raczej panna Katelbachówna dała nam miły wieczór. Byłby on znacznie miłszy, gdyby...

Otóż tych „gdyby”, a raczej „ale” jest niemało i warto je tu zanotować gwoli przestrodze i nauce.

Zacznijmy od tekstu. Nie udało mi się ustalić, kto przełożył kołędę Goldoniego: może to i lepiej, bo znając autora przekładu, było by mi trochę przykro napisać, że jest już nie lichy, ale wprost skandaliczny. Nie sposób było po ciemku zanotować wszystkie horrenda wylatujące z ust biednych aktorów (powinni się byli zbuntować!), zdołałem jednak uchwycić parę kwiatków z bogatej oślej łąki. Oto one: „nie chcę mieć specjalną zasługę” (sic!), „moich przyjacieli”, „trzy osoby nie może”.

Rozumiem, że tłumacz (a może tłumaczka, Włoszka?) nie zna gramatyki i składni polskiej: na tłumaczenia rzucają się często ludzie nieodpowiedzialni, wyobrażając sobie, że znajomość języka oryginału jest wystarczającą kwalifikacją do parania się z tym rzemiosłem. Nie wiedzą, biedacy, że to dopiero połowa, a może tylko ćwiartka umiejętności, wymaganej od dobrego tłumacza: rozstrzygającym jest doskonałe opanowanie języka tłumaczenia. Ale chyba ktoś z Teatru Słowackiego (nazwa obowiązuje!) powinien wiedzieć, że przekład musi być sprawdzony i że istnieje — w przypadkach wątpliwych — wspólny instrument kontrolny. Mam na myśli piękny słownik Ortopedyczny Stanisława Szobera, który ukazał się jeszcze przed wojną, a przed rokiem został ponownie wydany pod zmienionym tytułem „Słownik poprawnej polszczyzny”. Można go sprawdzić z łatwością: inwestycja niewielka i niewątpliwie celowa — mogłoby z niego korzystać nie tylko tłumacze: nie-

jednemu autorowi emigracyjnych tekstów teatralnych przydałby się także.

Dla ścisłości muszę dodać, że „casus Oberżystka” nie wymagał ani słownika Szobera, ani wydatku na nędzny przekład: „Mirandolina” — grana wielokrotnie w okresie międzywojennym — idzie teraz w jednym z teatrów łódzkich w przekładzie Leopolda Staffa.

Ale wracamy do „Oberżystki”. Co zrobił reżyser W. Radulski ze źle wybraną i źle przełożoną (i w dodatku zeszeconą częstochowskimi piosenkami p. Białoguskiego) komedią Goldoniego? Sporo, ale stanowczo za mało. Słusznie poszedł po linię groteski, ale nie utrzymał jej konsekwentnie do końca. Tylko rola tytułowa i role Markiza, Wicehrabiego i służącego młodego szlachcica utrzymane były w tym stylu. Panu Blichewiczowi (młody szlachcic) kazano zbyt poważnie brać do serca doświadczone manewry zalotnicy, a p. Mirecki (Fabrizio) nie był ani groteskowy, ani liryczny, ani nawet melodramatyczny.

Uważam, że aktorzy polscy w W. Brytani stanowczo za mało pracują nad sobą. Nawet tak zdolna, rasowa i dobrze wyszkolona aktorka, jak panna Katelbachówna nie czyni dostatecznych postępów. Jej — naprawdę na poziomie i z dużym wdziękiem stworzona — kreacja Mirandoliny też nie jest wolna od grzechów. Przede wszystkim nie wolno grać na jednym rejestrze głosowym, w dodatku zbliżonym do krzyku. Mówiono mi wprawdzie, że to reżyser tak wprowadził artystkę, ale to byłaby tylko okoliczność łagodząca: jestem pewien, że panna Katelbachówna również poza sceną posiada dosyć inteligencji i wdzięku, aby wyperswadować najgroźniejszemu reżyserowi tak kardynalny błąd i krzywdzenie jej roli. Przydałoby się jej także fachowe postawienie głosu — kwestia miesiąca, czy dwóch uczciwej pracy. Po drugie: postawa. Jeśli chluba i nadzieja sceny emigracyjnej będzie nadal trzymać się krzywo, bardzo łatwo może popaść w manierę, w której grzęzną już od dawna liczni nasi aktorzy.

Taki na przykład p. Z. Blichewicz nigdy nie przestaje być sobą i to nie w tym znaczeniu, jaki nadaje temu określeniu wielki talent aktorski. Solski, grając Judasza czy Wielkiego Fryderyka ma prawo zostać Solskim: wielki, in-

dywidualny styl mieści się w każdej roli. Ale p. Blichewiczowi, czy p. Mireckiemu nie wolno w każdej roli powracać do tych samych grek.

Na zakończenie rzeczy przyjemne i równie godne podkreślenia jak liczne uchybienia. Choć panna Katelbach była niewątpliwie duszą spektaklu (bo wspomniane wady gry łagodzą zawsze jej szczyry wdzięk, młodość i aparycja), na równie wysokim, a ściśle mówiąc na wyższym (bo bezbłędnym) poziomie była gra p. W. Modrzeńskiego i p. Ratschki. Pierwszy wydobyl wszystko, chyba nawet więcej, niż się daje wydobyc z roli Markiza, drugi dał doskonale groteskowego sługę, zakochanego w oberżystce. O grze p. B. Przyłuskiego niewiele można powiedzieć — chyba to, że jest napewno lepszym poetą niż aktorem.

Czytając ten wylew krytycyzmu, można by dojść do wniosku, że nie warto oglądać „Oberżystki”. Muszę się najkategoryczniej zastrzec przeciw takiej konkluzji: na premierze byłem się znakomicie: „Mirandolina” w wykonaniu Teatru Słowackiego jest doskonałą i pouczającą (mimo, a może spowodowaną błędów i braków) rozrywką. Zresztą warto pójść na nią choćby po to, aby sprawdzić, czy autor tych uwag nie jest zbyt ostrym krytykiem. Zastępa

FILM

„ZIEMIA BOŻA”
TUTAJ „STROMBOLI”

— No jakże tam „Stromboli”? — zapytałem pewnej inteligentnej panny z wyższym wykształceniem (typowa emigrantka: domek rodzinny z ogrodkiem, uregulowane, mieszczańskie życie plus smaczki artystyczne i emocje z zakresu mody; anamneza psychiczno-życiowa: wygodne życie w Polsce, dwa lata „posiołku” w Rosji, trochę wojska — ciąg dalszy jak wyżej).

— Kłapa — brzmiała odpowiedź. — Dobijają i odbijają od brzegu, wulkan dymi, wybucha, Ingrid Bergman zawiódła — ona wymaga oprawy, sukien: you see — glamouring. Tylko fragmenty znośnie: wie pan, taki połów tuńczyków.

— No i cóż „Stromboli”? — zadałem w dzień później to samo pytanie b. oficerowi A.K. (wiek ten sam, co emigrantka; wykształcenie średnie; artysta; anamneza: pięć lat służby bojowej w organizacjach podziemnych, siedem ran, Ofiag, 2 Korpus we Włoszech, brat Łata, lubi popić).

— Wspaniały film. Europa — powiedział. — Ale nie dla każdego. Trzeba coś przeżyć, aby go widzieć. Bardzo ładny. Europa po Hitlerze, po wymieszaniu ludności. Doskonała gra Ingrid — subtelna, wy-cieniowana. To kapitalne.

Test wypadł nader ciekawie. Bardzo zaintrygowany i nieco śpiący (po ciężkiej nocy przy biurku) poszedłem na „Stromboli”. Sennaś odeszła mnie już przy pierwszych zdjęciach: czeska „dipiska” Karin (Ingrid Bergman), przebywająca w obozie przejściowym we Włoszech (z widokiem deportacji do sowieckiej ojczyzny) całuje się przez druty kolczaste z włoskim żołnierzem, siedzącym w obozie jeńców. Pobierają się. On jest rybakem z wulkanicznej wyspy w południowych Włoszech — Stromboli. Zabiera ją do siebie: „To moja ojczyzna, a ty jesteś moją żoną. Tu zostaniemy” — mówi. Ona jest przerażona nędzą rybackiej wioski, groźnie huczącym wulkanem, prymitywem ubogiej chaty: ma pewne wykształcenie, jest „cywilizowana”. Żył kiedyś wesoło, bawiła się, używała życia. Tu pustka, dzika natura, mąż spędzający długie dni i noce na dalekich połowach. Nie, to nie dla niej. Żąda od męża pieniędzy: dzięki nim wydosztanie się z upiornego bezludzia. Antonio (Mario Vitale) — człowiek prosty — stara się, robi co może, zarobki oddaje żonie. Cóż z tego? Samotność i nuda, a nawet ostracyzm są towarzyszkami biednej Karin. Ani mąż, ani miejscowe kobiety nie potrafią ocenić jej artystycznych zdolności, gdy stara się ozdobić domek niezrozumiałymi dla prymitywnej ludności małymi dziadkami. Proboszcz odmawia jej pomocy w wydosztaniu się z wyspy, mąż przecina jej niewinny flirt, raczej próbę towarzyskiego kontaktu z ludźmi. Gdy próba spotkania się z Cezarem ponawia się — Antonio bije żonę w głębokim przeświadczeniu, że spełnia swój obowiązek; wreszcie zamyka ją w domu jak więźnia. Karin wyrwa się przy pomocy Cezara, biega go o pomoc: nie sposób wydosztac się z wyspy bez łodzi i męskiego ramienia. Kokietuje go i zniewala swymi kobiecym urokiem. Umawiają się: będzie czekał na nią, da jej pieniądze. Następnego dnia udręczona kobieta wyrusza na spotkanie. Widzimy ją idącą wśród wulkanicznych skał, potem wspinającą się na zbocze wulkanu, który „zaczyna się gniewać”. Pomruk z wnętrza ziemi potężnieje, dymy i trujące opary zasłaniają niebezpieczną: gubi pieniądze i walizkę, pada bez sił na ziemię. „O Boże, Boże!” — modli się. Wulkan uspakaja się z wolna. Po jakimś czasie Carin budzi się z odrętwienia: Bóg uratował jej życie. Godzi się z losem i z uśmiechem wraca do wioski i męża.

Oto fabuła „Stromboli” — prosta jak życie rybaków na tej wyspie, niemal banalna, zwzagacona tylko wspaniałymi zdjęciami ucieczki ludności na morze przed wybuchem wulkanu i modlitwy w łodziach oraz prastarego, od lat tysięcy powtarzającego się, obrzędowego niemal połowu łososi i kilku charakterystycznymi epizodami tego surowego życia.

Zanim przystąpię do oceny filmu, warto przypomnieć parę faktów i jedną zasadę. Przede wszystkim trzeba wiedzieć, że „Stromboli” jest angielską i jak podkreśla prasa — pogorszoną wersją oryginalnego dzieła Rosseliniego, które pod tytułem „Ziemia Boża” otrzymało pierwszą nagrodę w Rzymie. Agencja prasowa Międzynarodowej Unii „Pro Deo” określa oryginał jako film głęboko religijny, pokazujący, że tylko łaska boska może pomóc człowiekowi w pokonaniu udręki życia.

W tej recenzji mogę mówić tylko o wersji angielskiej, gdyż oryginalny, rzecz jasna, nie oglądałem.

A oto zasada, którą chciałem przypomnieć. Artysta jest w pewnym sensie narzędziem sztuki i swego dzieła, a także narzędziem Stwórcy, który jest jedynym doskonałym Artystą. Życie prywatne artysty może, ale nie musi wpływać na wartość dzieła; to — z chwilą, gdy już powstało — zyskuje byt samodzielny i w tym charakterze winno być oceniane. Dlatego, rozważając wartość artystyczną „Stromboli” należy zapomnieć o prasowym huczku, rozpętanym w związku z romanssem Rosseliniego z artystką kreującą główną rolę w filmie. Sensacyjne smaczki i obłudne protesty purytańskiej prasy amerykańskiej nie interesują nas w tej chwili.

Co uczynił Rosselini ze streszczonej powyżej, prostej historii ludzkiej? Pokazał plastycznie dramat człowieka, dramat niezrozumienia i obcości, nie zawiniony przez żadnego z małżonków. Zarówno Karin, jak Antonio są po-rządny ludźmi każde na swój sposób i w ramach swej tradycji i przyzwyczajenia. Kochają się, ale sama miłość nie jest w stanie wyrównać dzielącej ich przepaści, nie może pokonać gniewnej potęgi przyrody, przerażającej przeczuc-

łoną dziewczynę z miasta, ba, napełniającej grozą nawet tubylców. Dramat ten, który w wersji angielskiej znajduje rozwiązanie w przeobrażeniu duchowym bohaterki (może cokolwiek zbyt nagłym i za mało przygotowanym, jak na dzieło realizmu filmowego) został pokazany z umiarem artystycznym, bez czułościowości, w całej swej nagłej prawdzie, ze współczuciem dla ludzkiej doli. Już to samo stawia dzieło wysoko na drabinie wartości artystycznych.

Ale trzeba dodać, że film (nawet jego zniekształcona wersja) ma jeszcze inne zalety. Szczegóły i elementy składowe całości roznieśczone są jeśli nie doskonale — to w każdym razie bezbłędnie, a gra artystów, zwłaszcza Ingrid Bergman, porywająca. Miałem zamiar wysunąć pewne zarzuty co do — zdawało by się — zbyt szeroko potraktowanego epizodu z połowem łososi (sam w sobie fragment ten jest niezwykle ciekawy i doskonały) oraz co do postawienia roli głównej bohaterki (w pierwszej chwili wydawało mi się, że reakcja jej na nowe otoczenie nakreślona została zbyt czarno i trochę tragicznie). Ale po namyśle uważam, że podnoszenie tych obiekcyj jest przedwczesne. Odnosi się wrażenie, że w kolejnych dziełach Rosseliniego jest pewna konsekwencja i że nie nadszedł jeszcze czas na ich syntetyczną ocenę: kto wie, może są to cegiełki, z których powstanie piękny i doskonały gmach sztuki filmowej tego wielkiego artysty.

Dalszymi walorami filmu są

świetne zdjęcia plenerowe: prawdziwe — i jakże dla nas egzotyczne — widoki dzikiej przyrody i wybuchów wulkanu, którego głucho dudnienie jest dominantą nastrojową filmu. Miejsceowy folklor i sposób życia mieszkańców odludnej wyspy pokazano ciekawie i wszechstronnie.

W sumie „Stromboli” jest filmem pięknym, artystycznie mistrzowskim. Nie mam odwagi nazwać go arcydziełem, bo wydaje mi się, że przedstawiając szczegółną i raczej dość rzadką sytuację życiową jest bliski monografii: brak mu wszechstronności i powszechności, które winny cechować dzieła wielkie, absolutnie doskonałe. Cień wątpliwości budzi także scena końcowa.

Wracam do punktu wyjścia — do testu na wrażliwość publiczności, — aby dać odpowiedź na pytanie: czemu przypisać krainowo różną reakcję różnych ludzi na to samo dzieło sztuki? Odpowiedź wydaje mi się prosta: kto wraz z 90 proc. widzów kinowych szuka na ekranach dreszczu (erotycznego, czy jakiegokolwiek innego) lub ucieczki od rzeczywistości w fikcyjne i absurdalnie dalekie od życia, luksusowe, pełne fałszywego blichtru i zewnętrznej pompy przeżycia bogaczy lub ludzi wyjątkowych; kto zasklepił się w skorupie własnych, małych, codziennych spraw i zatrzymał wrażliwość na dolę współludzi; kto wreszcie przeintelektualizował i zrationalizował swe życie i zgubił kontakt z prostymi i silnymi sprawami świata — ten nie znajdzie nic, albo bardzo niewiele w „Stromboli”. Ale kto potrafi się wzruszać rzeczami istotnymi, a odrzucać małostki — ten przeżyje film Rosseliniego pełnią artystycznego przeżycia. Bo jest to film przejmujący do głębi.

St. Pałęcki

NAJLEPSZA POMOC
BLISKIM W KRAJU TO
MATERIAŁY WEŁNIANE

w doskonałych gatunkach eksportowych
PO OKAZYJNIE NISKICH CENACH
(Cena kuponu 3 y. w kraju — 30 do 60.000 zł.)

np. JM/4 - KAMGARN eksport., granatowy z białym paskiem, na eleganc. ubranie wizytowe i kostiumy, 1 jard podw. szer. tylko 39/-
M/4 - HOPSACK (rodz. samodziału) szary lub brązowy, na eleganckie ubrania i kostiumy — 1 jard tylko 28/-
MH/4 - SZEWIOT w dosk. gat., b. trwałe; brąz. lub szary „na codz. ubrania, 1 jard tylko 34/-
C/4 - DIAGONAL brąz., beige lub szary w jaśniejsze ukośne prążki, na płaszcz damskie, 1 jard tylko 19/6
C/4a) - MATERIAŁ jednobarwny, tkaną w delikatną sosenkę, lekki, puszysty, — niebieski, szary, zielony, beige; na eleganckie płaszcz damskie, 1 jard tylko 19/6
CH/7 - B. ciepła, miękka, gładka wełna, tzw. WHIPCORD, granat, beige, czarny; na płaszcz damskie, 1 jard tylko 33/-

o r a z kilkadziesiąt innych materiałów na składzie
PROSIMY PORÓBNAĆ CENY I JAKOŚĆ!
ZAPRASZAMY DO OBEJRZENIA WZORÓW!

Biura otwarte codziennie, również w soboty, od g. 10 do 6 wiecz.
Na życzenie wysyłamy próbki.

Wysyłka z naszej HURTOWNI MATERIAŁÓW

FREGATA (Merchants) LTD.

11, Greek Street, London, W. 1., Tel.: GER 2522

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

ILE JEST TUBYLCZEGO DUCHOWIENSTWA W KRAJACH MİSYJNYCH?

W krajach misyjnych w Azji i w Afryce jest w tej chwili 11.163 księży tubyłców. Liczba ta obejmuje także i niektóre stare społeczności katolickie, nie mające charakteru misyjnego, takie, jak Filipiny, w których jednak tradycyjnie pracuje wielu księży, przysianych z Europy.

Liczba ta dzieli się na następujące pozycje:

W Chinach, na 3.260.000 katolików jest 2.547 chińskich księży i 957 chińskich kleryków.

W Japonii na 130.901 katolików jest 181 japońskich księży i 164 japońskich kleryków.

W Indiach (wraz z Pakistanem) na 4.667.620 katolików jest 3.139 induskich księży i 1.235 induskich kleryków.

W Indonezji na 732.230 katolików jest 74 tubyłczych księży i 76 tubyłczych kleryków.

Indochinach na 1.534.000 katolików jest 1.469 tubyłczych księży i 516 tubyłczych kleryków.

Na Filipinach na 14.000.000 katolików jest tylko 2.053 tubyłczych księży i 328 tubyłczych kleryków.

W pozostałych krajach południowo-wschodniej Azji, a mianowicie na Cejlonie, w Birmie, w Sjamie, na Malajach i w Korei, na ogólną liczbę 1.004.000 katolików jest 606 tubyłczych księży i 206 tubyłczych kleryków.

W czarnej Afryce, na 10.926.844 katolików jest 1.094 murzyńskich księży i 1.246 murzyńskich kleryków.

MIASTO ROK ŚWIĘTY

Grupa osadników włoskich w Argentynie, w okolicy Altamura nad rzeką San Francisco niedaleko miasta Santa Barbara, buduje nowe miasteczko, które na pamiątkę roku swego powstania otrzymuje nazwę Anno Santo, czyli Rok Święty.

CZY WŁOCHY MAJĄ RELIGIĘ PAŃSTWOWĄ?

Dwóch włoskich dziennikarzy komunistycznych, którzy na łamach komunistycznego czasopisma włoskiego „Vie Nuove” obelżywymi rysunkami i tekstem znieważyli religię katolicką, stanęli przed włoskim sądem pod oskarżeniem znieważenia religii państwowej.

Sąd uwołał ich w r. 1949 od winy i kary, z usadnieniem, że Włochy nie mają religii państwowej, a więc znieważenie wiary katolickiej

nie jest przestępstwem. Prokurator wniosł jednak apelację, i sprawa zostanie rozstrzygnięta w roku bieżącym.

NOWY KOŚCIÓŁ W CZĘSTOCHOWIE

Położono w Częstochowie kamień węgielny pod nowy kościół w parafii św. Rocha mogący pomieścić 3000 osób. Poza katedrą, i poza klasztorem jasnogórskim, który jest położony daleko od śródmieścia, na górze, Częstochowa nie posiada ani jednego obszernego kościoła, same tylko małe kościółki. Potrzeba budowy nowego obszernego kościoła w tym mieście, liczącym 120.000 katolików, dawała się pilnie odczuwać.

EX-CESARZOWA ZYTA ZAKONNICĄ?

Ex-cesarzowa Zyta, wdowa po ostatnim cesarzu austriackim, Karolu, zmarłym na emigracji na portugalskiej wyspie Maderze 28 lat temu, przybyła do Rzymu celem uzyskania odpustów Roku Świętego. Przybyła samotnie, po ciąglem III klasę, z dwoma walizkami, które sama niosła i zamieszkała w Rzymie w klasztorze SS. Franciszkanek. Na jednej z uroczystości w bazylice św. Piotra odmówiła skorzystania z honorowego miejsca, jakie jej wyznaczono, chciała bowiem nie wyróżniać się od szarego tłumu pielgrzymów. Chodzą pogłoski, że ma ona zamiar wstąpić w Rzymie do zakonu SS. Bernardynek.

Ex-cesarzowa Zyta, z domu księżniczka Bourbon-Parma, jest matką ośmiorga dzieci: wszystkie jej dzieci ukończyły studia uniwersyteckie na uniwersytecie katolickim w Louvain, w Belgii. Od czasu upadku monarchii austriackiej, ex-cesarzowa Zyta wraz z dziećmi mieszkała w Portugalii, Hiszpanii i Belgii, a w czasie ostatniej wojny w Ameryce. Znana ona była przed pierwszą wojną światową również i w Polsce, w zaborze austriackim, mąż jej bowiem, arcyksiążę Karol, który do chwili zamordowania w r. 1914 następcy tronu Franciszka Ferdynanda w Sarajewie, austriackim następcą tronu nie był, pełnił w jednym z powiatowych miasteczek ówczesnej Galicji funkcję młodszego oficera w miejscowym austriackim pułku. Oboje arcyksiężstwo znani tam byli jako przykładowe młode małżeństwo, żyjące życiem szczerze katolickim i od-

znaczające się wielką osobistą prostotą i skromnością.

PIELGRZYMKĄ AFRYKAŃSKĄ DO RZYMU

W tych dniach udaje się do Rzymu rozmaitymi drogami, przeważnie samolotami, — pielgrzymka około 400 przedstawicieli katolickiej Afryki, z posładości angielskich i francuskich w Afryce Wschodniej i Zachodniej.

W pielgrzymce bierze udział 50 kilku katolickich kacyków murzyńskich, sędzia sądu najwyższego w jednym z największych, tubyłczych królestw afrykańskich, wchodzącym w skład protektoratu Uganda, 31 biskupów, administratorów apostołskich i protektorów apostołskich (wśród nich jednak tylko jeden murzyn, J.E. ks. biskup Kiwanuka z Ugandy), oraz delegację tubyłczego, murzyńskiego duchowieństwa, murzyńskich zakonnic i murzyńskich braci zakonnych z każdej diecezji, a także wielu przedstawicieli świeckiej elity katolickiej społeczeństw murzyńskich.

KOLEGIA KATOLICKIE W KENTUCKY PRZYJMĄ MURZYŃW

W stanie Kentucky w Ameryce Północnej obowiązywała od roku 1904 ustawa, zabraniająca murzynom uczęszczania do tych samych szkół, do których uczęszczają biali. Ustawa ta została teraz skasowana.

Jedynie trzy kolegia katolickie, istniejące w mieście Louisville w stanie Kentucky, które dotychczas mogły przyjmować tylko białych uczniów i uczennice, natychmiast w związku z tym ogłosiły łączny komunikat, stwierdzający, że od-tąd będą przyjmować również i młodzież murzyńską i że uważają to za rozumiejące się samo przez się, gdyż tego zasady religii katolickiej wymagają.

Kolegiami tymi są Kolegium SS. Nazaretanek, Kolegium SS. Urszulanek i męskie Kolegium Belarmina.

EKSKOMUNIKACJA RUMUŃSKIEGO KSIĘDZA

Stolica Apostolska ekskomunikowała rumuńskiego księdza obrządku łacińskiego, Andrzeja Agotha za współpracę z komunistami i próbę tworzenia buntowniczej sekty, z komunizmem związanej. Kilku księży rumuńskich, współpracujących z ks. Agotha, otrzymało ostrzeżenie.

WŚRÓD CZASOPISM

BIALI WOBEC SWYCH KOLOROWYCH BRACI

NOWY NUMER „ESPRI”

Zeszyt kwietniowy „Espri”, ostatni zredagowany przez Emanuela Mounier, poświęcony jest problemom kolonialnym. Jean Rous zwraca uwagę, że Rosja i Stany Zjednoczone są anty - kolonialne, podczas gdy Anglia przoduje w obronie kolonializmu. Ameryka nie wierzy w kolonializm, tj. w imperializm kolonialny jako środek światowej ekspansji, lecz stosuje inny rodzaj imperializmu. Dopuszcza ona niezależność polityczną, by z niej zrobić kładkę dla swej penetracji gospodarczej... „Anty - kolonializm amerykański osłabił nieco ze względów strategicznych w pierwszych latach zimnej wojny; od roku z tych samych względów wzmacnia się. Niemniej względny jest anty - kolonializm sowiecki, „z innych lecz symetrycznych powodów”. Bolszewicy popierają tylko ruchy niepodległościowe, które im podlegają. Trudno powiedzieć, czy postawa Sowietów wobec Jugosławii i krajów Europy Wschodniej jest czy nie jest neo - kolonializmem. „Niestety istnieją jeszcze inne formy imperializmu, niż kolonializm i imperializm finansowy.”

Zadanie narodów znajdujących się w walce o niepodległość polega na umiejętności wyzyskania sprzecznych interesów rosyjskich i amerykańskich. Potęgi kolonialne odgrywają tu naturalnie rolę hamulca, ale mogą też — jak tego dowodzi przykład holenderski — stać się motorem gdy tylko pobjęda się problem kolonialny. ONZ nie spełnia, być może, w całej rozciągłości roli opiekuna ludów kolonialnych, ale w każdym razie stanowi ich trybunę. ONZ nie może dopomóc ludowi kolonialnemu do zwycięstwa, ale może wymóc, by zwycięstwo to — jeżeli je sobie sam wywalczy — zostało uznane. Potęgi kolonialne powinny we własnym interesie korzystać z aparatury ONZ, by ułożyć się ze swymi koloniami na nowych podstawach. We własnym interesie, bo jeżeli tego nie zrobią, zostaną „wylimitowane

ne przez nowe imperializmy”. Jeżeli Europa nie zerwie z kolonializmem — konkluduje Rous — „straci cały swój wpływ w Afryce i w Azji, a w końcu sama stanie się kolonią”.

O. Mannoni i Francis Jeanson podejmują próbę ustalenia praw psychologicznych, jakie rządzą wzajemnym stosunkiem administracyjnych i administrowanych w koloniach. Mannoni wychodzi z założenia, że zachowanie się kolorowych, obserwowane przez białych, w dużym stopniu tłumaczy się... obecnością białych. Opierając się na materiałach, dostarczonych przez rewoltę, jaka wybuchła w r. 1947 na Madagaskarze i tak krwawo była tłumiona, Mannoni uważa, że biali odgrywają w koloniach rolę psychologicznie bardzo niebezpieczną. Zaspakajają oni przez swą wyższość i przez to, że są godni zaufania, pewne potrzeby religijne czy magiczne kolorowych. Biada im jednak, jeżeli z tej roli wypadną!

„Dopóki władze zachowują postawę nie tyle zycielną, ile opiekuńczą (co bynajmniej nie wyklucza użycia siły ani pewnej zdolności napedzania strachu), kolorowi mogą bezkarnie zapominać o starych autorytetach (np. przodków), mogą łamać obyczaje, zdradzać tradycje: biały ma dość szerokie bary, by wziąć na siebie całą odpowiedzialność. Jeżeli jednak staje się to niemożliwe, np. przez fakt, że biały sam zaczyna się czuć zagrożony albo że nie chce brać na siebie odpowiedzialności i „winy”, wtedy rodzi się panika, pod wpływem której stare zwyczaje i prawa są rewindykowane. Winowajcami, a więc wrogami, stają się biali, którzy zawiedli. Skupiają oni na sobie całą nienawiść plemienną, bardzo podobną do tej, jaka towarzyszy amokowi i ojcobójstwu.”

Revolta malgaska, kierowana częściowo przez miejscowych nacjonalistów, wybuchła dla tego, że „malgaszki chcieli przede wszyst-

kim ustanowić przywódców, z którymi mogliby na nowo nawiązać stosunek zależności, zerwany z białymi”. Biali skompromitowali się w ich oczach sposobem, w jaki wprowadzili w życie zarządzenie o zniesieniu robót przymusowych i indygenatu! Będem jednak błoby przynuszczać, że zło da się uaurwić przez prosty powrót białych do poprzedniej postawy wobec kolorowych. Utrata magicznego autorytetu w oczach kolorowych jest nie odwracalna. Autor tet ten był — jak to ujawnił wydarzenia, które poprzedziły rewoltę — nieporozumieniem. Mogłby on być zrekonstruowany już tylko jako kłamstwo.

Francis Jeanson — w pracy o Algierze — rozwija inny, równoległy motyw: zafalszowania stosunku białych i kolorowych wynikającego z głęboko zakorzenionych urządzeń białych do tubyłców. Mannoni też o tym wspomina. Jeżeli psychologia stosunku kolorowych do białych jest psychologią „transferu” (przenoszenia na białych prerogatyw bóstw i przodków), to psychologia stosunku białych do kolorowych może być opisana w terminach psychologii „projekcji” (rzutowania na kolorowych własnych, nie uświadomionych skłonności). Uważamy kolorowego w decydujących momentach za „dzikię” przenosząc nań „naszą własną dzikość nie uświadomioną i — jeżeli tak można powiedzieć — lek, jaki odczuwamy przed samymi sobą”. Francuz w Algierze — wvodzi Jeanson — widzi w tubyłcu przede wszystkim to, co z niego zrobił: członka narodu podbitego. Wszystko, co zdaje się go w tym wyobrażeniu o tubyłcach usprawiedliwiać, a więc przede wszystkim każdy objaw niewdzięczności, odrzucenie wyciągniętej dłoni etc., Francuz w Algierze przyjmuje z ulgą. On spełnił „swoją obowiązującą”, to „oni” są niewdzięczni, niepoprawni itd.

Stanowiąc tron stosunku bia-

Procesja Bożego Ciała

DLA WSZYSTKICH POLAKÓW ZAMIESZKAŁYCH W LONDYNIE

odbędzie się w niedzielę dnia 11 czerwca b.r. o godz. 5 po poł. w parku Braci Ksawerianów 11, Nightingale Lane, S.W.4.

DOJAZD DO STACJI CLAPHAM SOUTH kolejką podziemną Northern Line oraz autobusem 88 i tramwajami nr. 2, 4 i 6. Od stacji 5 minut pieszo ulicą Nightingale Lane.

NABOŻEŃSTWO POLSKIE

W KOŚCIELE OO. BENEDYKTYNÓW W EALING (LONDYN)

Dla Polaków zamieszkałych w Ealing i okolicach tej dzielnicy Londynu począwszy od 21 maja br. w każdą niedzielę o godzinie 13.15 odprawiana jest Msza św. z polskim kazaniem w kościele św. Benedykta (przy zbiegu ulic Charlbury Grove i Marchwood Crescent)

Dojazd kolejką podziemną District Line lub Central Line do stacji Ealing Broadway. Po wyjściu ze stacji należy skręcić w prawo i przez placzyk Haven Green dość ulicą Castlebar Road do prawej jej przeczynicy Blakesley Avenue i nią do kościoła, który znajduje się u jej wylotu.

Pierwszą Mszę św., w niedzielę 21 maja br. odprawił i kazanie wygłosił ks. prał. W. Stanisławski, polski Wikariusz Delegat na Anglię i Walię. W przyszłości będzie wyznaczony stały duszpasterz na tę nową polską placówkę duszpasterską w Londynie. Na pierwszej Mszy św. było ponad 160 osób; w czasie Mszy św. śpiewano unisono pieśni maryjne. W projekcie jest założenie miejscowego Komitetu Kościelnego.

Po Mszy św. w przedslonku kościoła można nabyć polską prasę katolicką a więc: ŻYCIE, „Gazetę Niedzielną” i „Tygodnik Pow-szechny”.

NOWE KSIĄŻKI

Wybitna powieść Antonii White

Świeżo ukazała się druga z kolei powieść wybitnej katolickiej pisarki i krytyczki Antonii White, której przeglądy i essay'e można z wielkim pożytkiem i zadowoleniem czytać w miesięczniku „Month”, tygodniku „Public Opinion”, i w innych pismach. Powieść ta nosi tytuł „The Lost Traveller”. Oto jej krótkie streszczenie:

Klara, jedyna córka katolika - konwertyty i matki arystokratki, w roku 1914, w wieku 10 lat, zostaje umieszczona w ekskluzywnej szkole kiasztornej. Po pewnym czasie rodzice odbierają ją stamtąd ku wielkiemu zmartwieniu dziewczynki, bardzo szczęśliwej w przy-jemnym otoczeniu szkolnym. Ojciec — człowiek o krytycznym i gniewliwym usposobieniu — pragnie, aby córka porobiła korzystne znajomości i weszła w przyszłości w zamienne koła katolików angielskich. Atmosfera trójosobowej rodziny jest trudna i ciężka; oboje rodzice starają się pozyskać — każde dla siebie — wyłączną miłość córki, ta jednak ubóstwia zdolnego ojca, lekceważąc głupią i próżną matkę, która na krótko wikała się w miłośćkę z nieciekawym Irlandczykiem. Gdy trafia się okazja, młoda dziewczyna z radością podejmuje się pracy guwernantki synka - bogatej katolickiej rodziny. Znów jest szczęśliwa i lubiana przez rodziców i odczucie swego pupila; nieszczęście chłopiec ginie w niezawinionym przez guwernantkę wypadku. Klara wraca do domu rodziców, witana z radością przez matkę i z wielkim gniewem przez ojca, obciążającego ją niesłusznie o przyczynienie się do śmierci dziecka powierzonego jej pieczy. Aby ugłaskać ojca, młoda dziewczyna zaręcza się szybko z nieinteligentnym arystokratą; tak straciła swą drogę — jest zablakany podrózny.

Charaktery postaci występujących w tej powieści są nakreślone żywo; są to ludzie przeciętni, a jed-

nak jedyni i niepowtarzalni. Doskonale postawiona jest postać Klary: jej rozwój psychiczny w niezwykle trudnym i bardzo rzadko przez artystów opisywanym okresie przejściowym jest pokazany żywo, ciekawie i prawdziwie. Przy czytaniu opisów stanów emocjonalnych bohaterki przychodzi na myśl inny wielki artysta, który stworzył świetne postaci podiótków: Bolesław Prus i „Emancypantki”.

Panna White dzieli z innymi pisarzami - katolikami cechy postawy psychicznej i etycznej bardzo rzadko spotykanej w współczesnych pisarzy: jest surowa w ocenie moralnej, a jednocześnie pełna współczucia i miłości bliźniego. Podkreśla grzech, ale zarazem pokazuje go jako rzecz wymagającą naszego zrozumienia i przebaczenia. Nie jest w niczym podobna do tych do-broduszych i sentymentalnych giupiasów, co wybaczą wszystko, bo niczego nie rozumieją. To nastawienie autorki daje powieści jakiś zbawienny, wyzwalający ton.

Pod względem artystycznym książka nie jest bezbłędna, choć bezwzględnie wybitna. Po doskonałych początkowych rozdziałach autorka wpada w pewne łatwizny: nie trzyma dość mocno w cuglach konstrukcji i rytmu dzieła, puszcza jakgdyby samopas swych bohaterów. Zdarzają się jej pewne potknięcia w dialogach i nieprzekonywujące sytuacje. Całość jednak jest więcej niż interesująca: nie ulega wątpliwości, że p. White jest artystką, która zna wartość słowa i ma dość siły, aby sztukę powieściową dźwignąć z powrotem do jej dawnego znaczenia.

Warto podkreślić, że „The Lost Traveller” spotkała się z bardzo przychylnym przyjęciem wszystkich oddziałów prasy angielskiej. Recenzent „Daily Mail”, sprawozdanie swe opatrzył znanym tytułem: „Panna White wstępuje na ciężką drogę powodzenia”.

(sp)

tych do tubyłców, wyobrażenie to z kolei narzuca się kolorowym i jego odbicie staje się nawykami, który czyni kolorowych niewrażliwymi na objawy dobrej woli drugiej strony. Tragedia kolonialnego idealizmu jest prawda, że z czowiekiem niewolnym nie można mówić jak z wolnym. Sama atmosfera niewoli — by pominąć już nawet jej in-

stylucję — fałszuje każdą intencję, zmienia jej sens i z najszlachetniejszego gestu robi — niespodziewanie, ale w sposób nieunikniony — gest „niewiaściwy”. Kolorowym nie wystarczy gest życzliwości, oczekują oni czynu, który ustanowiłby między nimi a białymi prawdziwy stosunek wzajemności.

j.m.r.

Jak zdobyć rozumny takt i umiar w postępowaniu w najważniejszych okolicznościach nauczy Cię znakomity

BREWIAZ DYPLOMATYCZNY

O. B. GRACJANA

Książka na całe życie.

Wydanie luksusowe.

STRON 343

Cena 18 sh plus 6 d za porto

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
12, Praed Mews, London, W.2.

NA MARGINESIE

FIGLARZE

Od dłuższego czasu nie słyszymy nic o p. Hilarym Mincu. Natomiast ukazał się w „Przeglądzie Gospodarczym” w Warszawie artykuł p. Bronisława Minca. Co warta jest statystyka warszawskiego reżimu przekonać się można z cyfr malujących w tym artykule „historyczne zwycięstwo Polski Ludowej”. Dowiadujemy się, że w Polsce w r. 1949 pszenica średnio dała z ha w kwintalach 12,3; żyto — 13,1 a jęczmień 12,2. Przecieramy oczy. Czy być może? Co za postęp, co za kultura rolna? Przecież w tej Polsce przedwojennej w r. 1937 ta przeciętna przy dobrze zagospodarowanej ziemi folwarcznej wynosiła dla pszenicy w kwintalach z ha tylko — 11,4; dla żyta — 9,9; dla jęczmienia — 11,1. W samym tylko życie, jak widzimy, wydajność wzrosła o 30 proc.

Zaciekawieni tymi sensacyjnymi rezultatami wyobrażamy sobie jak świetnie musiano zrobić postępy w produkcji kartofli i buraków cukrowych. Cóż za zawód? Ziemiaki dały w 1949 r. z hektara przeciętnie tylko 98 kwintali, a buraki — 85. Jakżeż to wytłumaczyć? Przecież w r. 1937 hektar dał w kartoflach 134,9 kwintali a w burakach cukrowych — 221,1. Jak można się przynajmniej do tak kiepskiej gospodarki rolnej?

Rąbek tajemnicy uchyla odsyłać w artykule p. B. Minca: „szacunek G. U. S. — według danych korespondentów wiejskich”. O ziarnie żelazki, a o okopowych napisali prawdę. Nastąpiła widocznie u korespondentów zmiana warty.

LICZNY UDZIAŁ

Otwarto w Polsce „Międzynarodowe Targi Poznańskie”. Szumna reklama roznosi wieść, że „liczny udział wystawców zagranicznych wyraził się w tym roku cyfrą 16 państw”. Ponieważ trudno zaliczyć Związek Radziecki i kraje Demokracji Ludowej do wystawców zagranicznych w ścisłym tego słowa znaczeniu więc postaraliśmy się o bardziej dokładne określenie udziału rzeczywiste zagranicznych wystawców w Targach Poznańskich. Oto cyfry. Z ogółu terenu krytego na Targach, który wynosi 8527 metrów kwadratowych Związek Sowiecki i satelici zajmują 6741 m. Na terenie nie krytym, który wynosi 9242 metrów kw. istotna „zagranica” wynajęła... 385 metrów.

NOWE CZASY

Panu W. Churchillowi wręczono w Worcester dyplom honorowego obywatela. W przemówieniu swym brytyjski mąż stanu podkreślając doniosłość hymnów narodowych, ktrytykował ostro stanowisko prasy angielskiej, która dała wyraz swemu oburzeniu z powodu śpiewania w Berlinie na propozycję kanclerza Adenauera strofki z niemieckiego hymnu „Deutschland über alles”. „Nie wypadła — zaznaczył on —, by wielki naród takie zajmował stanowisko wobec drugiego wielkiego narodu”.

Jednocześnie pojawiła się w prasie wiadomość, że kanadyjska marynarka wykreśliła ze śpiewów na statkach kanadyjskich pieśń „Rule Britannia”. Pan Churchill będzie musiał zastanowić się głębiej nad źródłami oburzenia Europejczyków, którzy już nie chcą więcej słyszeć o „panowaniu” Niemiec i braku zapału ze strony członka Wspólnoty Brytyjskiej do stawienia „panowania” Anglii.

Z tych oburzeń i niechęci powstać mogą nowe pieśni. XYZ

Czy komunizm wywodzi się z cywilizacji zachodniej

13 maja 1950.

Szanowny Panie Redaktorze,

Autor zapisku „Na jakich podstawach” w ostatnim nrze — 19 — „Życia” atakuje twierdzenie z „Dziennika Polskiego”, że Stany Zjednoczone Ameryki Północnej opierają „swoją” politykę na zasadach cywilizacji zachodniej, a natomiast sam twierdzi, że „jak to dobrze wiemy, na zasadach cywilizacji zachodniej wyrósł komunizm i bolszewizm”. Następnie autor zapisku rejestruje jak gdyby zasady, które — wedle niego — są podstawami bytu społecznego Ameryki, wyliczając między innymi rasizm, nienawiść do katolicyzmu, wyrzucenie Boga z całosci życia ludzkiego, kapitalizm etc.

Wydaje mi się, że szanownemu autorowi pomieszały się pewne pojęcia, które takiego mieszania nie znoszą. Nie można, na przykład, traktować na równi ateizmu i kapitalizmu, zwłaszcza w katolickim piśmie, skoro w jednym wypadku chodzi o zagadnienie religijne, o najwyższe zagadnienie w ogóle, w drugim zaś o zagadnienie społeczno-ekonomiczne, o pewną historycznie przejściową formę rozwoju ekonomicznego społeczeństwa. Kościół katolicki nie jest związany ani z kapitalizmem, ani z żadną inną formą ekonomii społecznej, a więc i taką, która jest kapitalizmem przeciwną. Moim zdaniem — i zdaniem wielu innych katolików — ci z pośród nas, którzy usiłują przelicytować w radykalizm społeczny komunistów, zapominają, że żaden ustroj społeczny nie jest *per definitionem* potępiony przez Kościół, ani też żaden nie jest z góry zalecany. W ogóle zaś pogląd, głoszony tak często przez niektórych katolików francuskich, że jakaś im przypadająca do smaku forma ustroju społecznego może usunąć niedomagania doczesne, wynikające z ułomności świata materialnego i natury ludzkiej, wydaje mi się złudzeniem, które drogę może jesz-

cze kosztować poddające mu się społeczeństwa.

Natomiast katolicy nie mogą być obojętni na formę ustroju społecznego, ale z zupełnie innego punktu widzenia. A mianowicie, chodzi o to, czy ustroj polityczny - społeczny pozwala osobie ludzkiej na uczynienie wyboru pomiędzy tym co jest dobre, a co złe, nie tylko wewnątrz samotnej duszy ludzkiej — na przykład w obozie koncentracyjnym — lecz także w stosunkach człowieka z człowiekiem, to znaczy w stosunkach społecznych. Chodzi o to, czy wolno w ogóle wyznawać i głosić zasadę, że pewne idee i czyny są dobre, a inne złe i dlatego.

I dlatego podstawową zasadą bytu społecznego naszej cywilizacji, która wyrosła z Chrześcijaństwa, to jest cywilizacji nazywanej potocznie zachodnią, jest wolność. Na tej zasadzie dopiero wyrosnąć mogą celowe i pożyteczne instytucje społeczne, jak forma „równa rodziny, ustabilizowany i zgodny z zasadami prawa naturalnego ustroj polityczny i t. d., które to instytucje z jednej strony ułatwiają będą ujawnianie się lepszych stron natury ludzkiej, z drugiej zaś strony niedopuszczają do anarchii, ani tym bardziej do urzwywilejowania pierwiastków zła w stosunkach społecznych. Instytucje te nie powstaną same przez się; muszą one być okupione pracą i usiłowaniami wielu pokoleń. Mogą one jednak wyrosnąć tylko z zasady wolności — to znaczy z odpowiedzialności ludzkiej, bo gdzie nie ma wolności, nie ma i odpowiedzialności — która to zasada, moim zdaniem, jest projekcją nauki Kościoła o wolnej woli ludzkiej w społeczną sferę życia.

Na tym tle stawiam twierdzenie, że jakkolwiek wolno autorowi zapisku w „Życiu” krytykować poszczególne objawy zła w społeczeństwach opierających swój byt społeczny na zasadzie wolności — jest on w błędzie, jeśli myśli, że zasada sama jest zła. To tylko ludzie są ułomni. Lecz dopóki zasada jest utrzymana, dopóki ludzie zachowują prawo myślenia na własną odpowiedzialność i szukania Prawdy, oraz działania w granicach zakreślonych jednakowo dla wszystkich,

zawsze mogą oni stan swego społeczeństwa ulepszyć i podnieść. Odnosi się to zarówno do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, jak i do każdego innego kraju, opierającego swój byt społeczny na zasadach cywilizacji zachodniej.

Nie można natomiast powiedzieć tego samego o porządku społecznym ustanowionym przez komunizm i bolszewizm. Wbrew temu co powiedział autor zapisku, herezje te — jak pozwolę sobie je nazwać w liście do katolickiego pisma — nie wywodzą się z zasad cywilizacji zachodniej, lecz przeciwnie — z ich zaprzeczenia. I dlatego zestawianie ze sobą jako systemów równowartościowych dla katolika, porządku komunistyczno - bolszewickiego, opartego na zasadzie determinizmu materialistycznego o raz cywilizacji zachodniej opartej na zasadzie wolnej woli ludzkiej, uważam nie tylko za błędne w ogóle, w kategoriach logiki, lecz i za niebezpieczne społecznie, szczególnie w obecnych okolicznościach, w których jasność myślenia i ostrość w rozróżnianiu pojęć stają się wstępnym warunkiem wyprowadzenia współczesnego świata z chaosu.

Najprostszym, dodam, kryterium różnic między cywilizacją zachodnią, a porządkiem komunistyczno-bolszewickim jest fakt, że np. autor zapisku w „Życiu” może swobodnie krytykować cywilizację zachodnią, a natomiast nie do pomyślenia jest, żeby mógł mu być wolno czynić to samo w stosunku do porządku komunistycznego w krajach, w których porządek ten panuje. To kryterium jest łatwo dostępne każdemu myślicielowi człowiekowi i nie mogło ono chyba ująć uwagi autora zapisku. A w takim razie w głowę zachodzą, dlaczego dąży on do zacierania różnic między obu systemami w umysłach czytelników „Życia”?

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania

M. E. Rojek

M. E. Rojek
50, Creffield Road
London, W. 5

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

ZGON ZNANEGO WYDAWCY

Dnia 30 kwietnia zmarł po dłuższej chorobie Walter Hutchinson, znany wydawca londyński. W czasie ubiegłej wojny na zamówienie polskiego Ministerstwa Informacji Hutchinson wydał „czarną księgę”, przedstawiającą rzady okupantów niemieckich w Polsce. Książka ta pt. „The German New Order in Poland”, licząca ponad 600 stron druku i wiele ilustracji, miała trzy wydania; nakład jej wyniósł około 20.000 egzemplarzy. W Stanach Zjednoczonych ukazała się ona pod nagłówkiem „The Black Book of Poland”.

Hutchinson zajmował postawę zdecydowanie przeciwniecką i popierał w tym zakresie akcję lorda Vansitarta.

Wykupiwszy za trzysta tysięcy funtów jeden z pałaców w śródmieściu Londynu (na Stratford Place) założył w nim tzw. National Gallery of British Sports and Pastimes, rodzaj muzeum sportu brytyjskiego. Po śmierci Hutchinsona dokonała tego budynku wywiązała się głośna sprawa sądowa, która ciągnie się do tej chwili. Mianowicie firma Troughton and Young, która zaprowadzała w tym budynku instalacje elektryczne,

wystąpiła na drodze sądowej z pretensją do firmy Hutchinsona o niezaplacenie części rachunku w wysokości 1.400 funtów, twierdząc w swej petycji, że firma Hutchinson winna ulec zwinieniu, skoro zalega z tą wypłatą.

Gdy sprawa znalazła się przed sądem, przedstawiciel f-my Hutchinson, adw. Bowyer stwierdził, że suma powyższa nie została zapłacona, gdyż Hutchinson uważał tę część rachunku za wątpliwą, później zaś nie mógł zająć się sprawą, ponieważ ciężko zachorował. Petycja firmy Troughton and Young zawiera insynuację, że Hutchinson nie jest zdolny spłacić swych długów. Twierdzenie to jest całkowicie nieuzasadnione, skoro kapitał firmy Hutchinson wynosił w gotówce 500.000 funtów, a jej aktywa stanowią ponad 1.000.000 funtów netto.

WYSTAWA KIAŻEK POŚWIĘCONYCH KWIAATOM

National Book League urządziła świeżo wystawę ilustrowanych książek, poświęconych kwiatom. Wystawa zawierała 150 niezwykle interesujących eksponatów, obejmujących okres od wieku XV do czasów obecnych.

Na czoło wybijały się 24 plansze z rysunkami kwiatów wykonane przez francuskiego malarza Redouté.

Autorem interesującego katalogu eksponatów był p. Wilfrid Blunt, sam zbieracz książek tego typu, i organizator wystawy.

WYSOKIE CENY ANTYKÓW

Znane jest zamlowanie Anglików do starych mebli i innych antyków pochodzenia angielskiego. Mimo pewnego zastoju na rynku antykarskim za przedmioty te nadal dawane są wysokie ceny. Tak np. w czasie licytacji różnych srebrnych przedmiotów, która odbyła się świeżo w znanej hali licytacyjnej Christie's, piękny elzbietański kosz do kwiatów z r. 1597 sprzedany został za 1.250 funtów, które ofiarował zbieracz prywatny p. Davidge.

Stara łyżka z r. 1534, typu „maidenhead” osiągnęła cenę 155 funtów.

WYSTAWA RZECZY MORSKICH

W galerii Heal and Son (196, Tottenham Court Road) odbywa się obecnie wystawa przedmiotów, związanych z morzem: modeli statków, muszli, obrazów marynistów itd.

SPROSTOWANIE

W numerze 20(151) ŻYCIA z dn. 14 maja br. w końcowym ustępie recenzji z odczytu red. M. Rojka, zakradł się zabawny błąd. Wydrukowano bowiem „gołolicą” zamiast „głagolicą”, jak być powinno, a co niniejszym prostujemy.

STREPTOMYCYN
PENICYLINA

10 gramów: £ 2.14.0 20 gramów: £ 5.6.0

1,250.000 j. (oily) 14/- 1,000.000 j. (krystal.) 11/-

CENY WRAZ Z PRZESYŁKĄ POLECONĄ DO KRAJU

(do 2 uncji lotniczo, za „express” 6 d.)

Także wszelkie

LEKARSTWA

po cenach eksportowych (bez „Purchase Tax”)

wysyła:

FREGATA (MERCHANTS) LTD.

11 Greek Street, London, W. 1. Tel.: GER 2522

Wytnij i zachowaj to ogłoszenie!

PENICYLINĘ STREPTOMYCYNĘ P. A. S.

3 milj. jedn. oleistej 28/- 10 x 1 gram £ 2.13.0 250 g. w proszku £ 2.15.0
10 x 200.000 jedn. kryst. 23/- 20 x 1 gram £ 5. 5. 0 500 tabletek £ 2.12.0

WYSYŁA DO POLSKI NATYCHMIAST

Mgr. Farm. M. B. GRABOWSKI

187, Draycott Avenue, London S. W. 3 Tel.: KEN 6583. Stacja kol. podz. South Kensington

ZYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre, Adres redakcji i Administracji: Polish Weekly ZYCIE, 12 Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po pol. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rekwizytów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed” wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 lam £ 1; w teście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI, Anggatan 6 c, Lund, Sverige, Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM, kwartalnie 7.00 DM, ARGENTYNA: kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires.